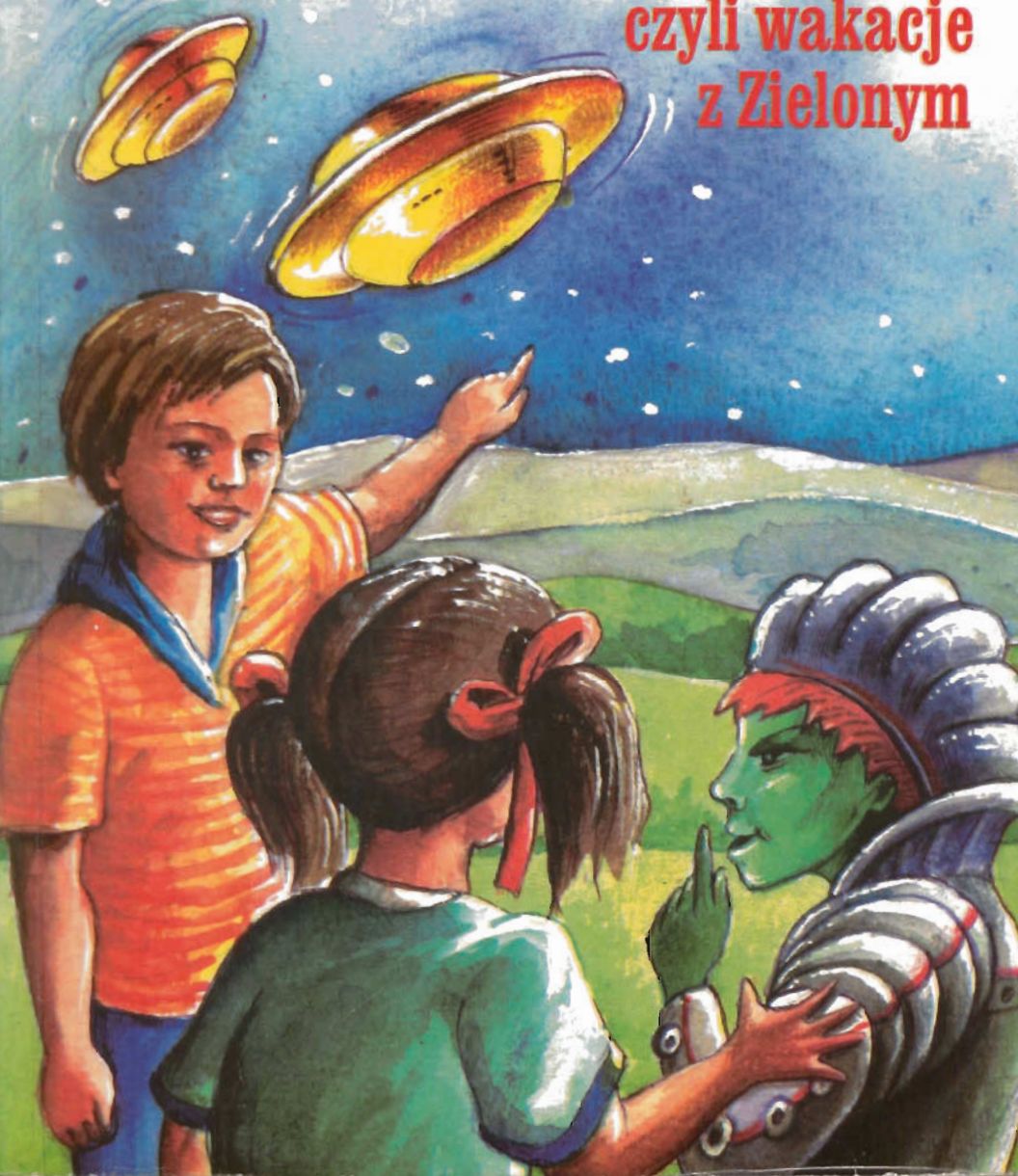


Ewa Barańska

KOSMICZNA HECA

**czyli wakacje
z Zielonym**



KOSMICZNA HECA
czyli
WAKACJE Z ZIELONYM

© - copyright by Polish edition

EWA BARAŃSKA

ISBN 83-85844-55-4

EWA BARAŃSKA

**KOSMICZNA HECA
czyli
WAKACJE Z ZIELONYM**

**MAŁOPOLSKA OFICyna WYDAWNICZA
KORONA**

Opracowanie graficzne:

Krzysztof Motyka

Opracowanie redakcyjne:

Ewa Kmiec

SMUTNA PERSPEKTYWA

Wakacje tego roku nie zapowiadały się zbyt interesująco. Dużo w tym mojej winy. Świadcstwo ukończenia siódmej klasy miałem tak kiepskie, że trudno było liczyć na wyrozumiałość ojca. Zamiast do Albisoli na Włoskiej Riwierze, musiałem jechać w Bieszczady. Rodzice, bez żadnych zastrzeżeń oczywiście, zabierali ze sobą Aśkę, moją siostrę. Aśka jest o rok starsza ode mnie i według szeroko rozpowszechnionej opinii, stanowi, wszechstronny wzór do naśladowania. Przede wszystkim dla mnie. Ale czy w ogóle można naśladować dziewczyny? One przecież od urodzenia są po prostu inne. Uważam, że zmuszać chłopaká, by zachowywał się jak dziewczyna, to tak samo

jak kazać kotu ćwierkać. Najbardziej tego nie rozumie ojciec, chociaż sam nawet nie próbuje upodabniać się do mamy. Lecz tak to już jest z dorosłymi. Odkąd żyję, nie spotkałem dorosłego, który robiłby dokładnie to, co mówi, albo odwrotnie. I zawsze czują się usprawiedliwieni, gdyż właśnie coś im wypadło, skomplikowało się lub po prostu nie wyszło. Ale kiedy nam coś nie wyjdzie, zaraz rozpętują piekło.

Podczas gdy zrezygnowany pakowałem plecak, ojciec położył przede mną „Historię” i „Fizykę” i polecił, abym zabrał je ze sobą i w wolnych chwilach uzupełniał braki.

Wyjechałem najbliższym pociągami zmierzającym w kierunku mojego przeznaczenia, aby nie patrzeć na przygotowania do tej wielkiej, włoskiej wyprawy, którą planowało się już od zeszłego roku. I tak oczami wyobraźni widziałem jak mama biega za sprawunkami, tata grzebie w samochodzie, a Aśka przymierza sterty sukienek, bluzek i spódniczek, jak się przy tym naradza z przyjaciółkami, jakby od decyzji czy jakiś ciuch będzie w kropki, paski czy ciapki, zależały losy świat. Wołałem przynajmniej oszczędzić sobie takich widoków.

Pełen najczarniejszych myśli dotarłem do wujka leśnika, który mieszkał w małej leśniczówce schowanej w dziwnych ostępach masywu Chryszczatej — w Bieszczadach

Zanim opowiem co mi się tam przytrafiło, muszę poświęcić kilka słów samej leśniczówce. Patrząc na mapę można pomyśleć, że chodzi tu o wieś Habkawce, jednak po wsi pozostała tylko nazwa i zdziczałe drzewa owocowe

przygłuszone bujnie rosnącą tu olchą. Sama wieś została kompletnie zniszczona pod koniec wojny. Wujek Tosiek był dozorcą tutejszych lasów od czasu kiedy w Bieszczady zaczęli przyjeżdżać pierwsi osadnicy. Kochał te góry nade wszystko na świecie.

Leśniczówka była drewniana. Na parterze mieściła się duża sień, kuchnia ze spiżarnią, sypialnia i gabinet wujka. Super gabinet! Jego ściany ozdabiały rogi jelni, głowy dzików i rysia skóra, a podłogę zaścielały futra niedźwiedzi. Na poddaszu znajdowały się jeszcze dwa pokoje. Jeden z nich, zająłem ja, drugi nie nadawał się do zamieszkania, gdyż służył za podręczny magazyn rzeczy, które kiedyś mogą się przydać. Krótko mówiąc lamus. Obiecałem sobie, że któregoś dnia zrobię w tej rupieciarni wielkie poszukiwania. Skarbów rzecz jasna.

Po drugiej stronie podwórza stała stodoła z sianem dla siewka, z przylepioną do niej szopą na narzędzia, i stajnia, w której oprócz konia mieszkała wielka, leniwa świnia. Był jeszcze pies Burek. Wokół leśniczówki, jak okiem sięgnąć, las, las i las. Góry porośnięte lasem, las wdzierający się na szosę nazywaną przez miejscowych obwodnicą. Czasem zaglądali tu turyści. Pili wodę, rozkładali mapę, pytali o drogę i szli dalej.

„I co ja będę robił na tym pustkowiu — myślałem z goryczą — Chyba z konieczności wezmę się za naukę.”

Miałem żal do ojca. Tak mnie urządzić! Niby nie miałem powodów do narzekania, bo góry przepiękne, powietrze jak balsam, ciotka i wujek fajni, ale... żadnych

widoków na jakąkolwiek przygodę. Tak mi się przynajmniej wtedy wydawało. W nastroju przygnębienia przeżyłem trzy dni i wtedy... Ale po kolei

NIEZWYKŁE SPOTKANIE

Czwartego dnia przed południem, gdy wujek pracował w lesie a ciotka pojechała do Leska na zakupy, błąkałem się bez celu po obejściu. Było słonecznie i cicho. Czułem się niesamowicie samotny i załamany. Nuda i bezczynność zabijały mnie, gdyż do nauki, jak łatwo sobie wyobrazić, też nie miałem chęci. Kiedy pomyślałem o tym, jak moi kole-dzy spędzają teraz czas, zbierało mi się prawie na płacz. Już wyobrażałem sobie co będą opowiadać po wakacjach. A czym zaimponuję ja? Przejazdką na siwku? A może polowaniem na świnię, która uciekła do lasu? Niedaleko zresztą.

Napełniony żalem, jak gąbka wodą na dnie morza, powlokłem się do stodoły, położyłem na sianie i przez szparę

między deskami patrzyłem na podwórze. Wyimaginowałem sobie, że jestem dzielnym partyzantem na czatach i z napięciem wpatrywałem się w zalaną słońcem drogę, na której lada moment miała się pojawić banda wrogów. A wtedy ja... ta ta ta ta! Sam przeciwko piętnastu, ba, nawet stu. Jeszcze nie wiedziałem czy zwyciężę, czy dam się zabić, a może tylko zranić? Jedno było pewne, walka będzie zacięta, a ja wsławię się niezwykłym męstwem. Większym niż Rambo.

Nagle usłyszałem jakieś dziwne brzęczenie. Zostawiłem swoich wymyślonych bandytów i zacząłem nasłuchiwać. Brzęczenie szybko nasilało się i zakończyło tak ogromnym hukiem, że aż podskoczyła stodoła i zachrzęściły dachówki. Odruchowo zasłoniłem rękami głowę. W tej samej chwili za moimi plecami spadło coś ciężkiego i zapanowała cisza.

Rozejrzałem się, ale niczego podejrzanego nie dostrzegłem. Wyrząłem przez szparę w deskach na drogę — nic się nie zmieniło. Podczołgałem się pod przeciwległą ścianę i zlustrowałem teren po drugiej stronie stodoły — też nic. Wracając potknąłem się o coś twardego i runąłem jak długi. Podniosłem się błyskawicznie i na moment zdrętwiałem z przerażenia. Z siana wystawała noga.

W pierwszym odruchu chciałem uciekać, lecz nie mogłem przecież zachować się jak tchórz. Szczególnie zważywszy, że jeszcze przed kilkoma minutami w pojedynkę chciałem pokonać całą zgraję bandytów. Podszedłem więc do nogi i przyjrzałem jej się dokładnie. Obuta była w srebrzysty trzewik na niezwykle grubej, gąbczastej podeszwie. Nigdy dotąd jeszcze takich butów nie widziałem.



Na początek trąciłem ją lekko — poruszyła się niespokojnie, co świadczyło, że należy do żywego osobnika. Nawet bardzo żywego, bo przy następnej próbie wyjaśniania tej zagadki, przez potrącanie oczywiście, z siana wyłoniła się druga noga usiłując mnie kopnąć. Tego nie mogłem puścić płazem. Złapałem jedną i drugą nogę, i pociągnąłem. Nogi zdziwiły mnie, ale to co zobaczyłem dalej przeszło wszelkie wyobrażenie. Był to chłopiec, ale jaki???

Miał mniej więcej mój wzrost, zieloną skórę, skośne oczy o nieprzeciętnie długich rzęsach i wystające kości policzkowe. Spod czapki przypominającej pilotkę wystawały rdzawoczerwone, kręcone włosy. Opinał go srebrzysty kombinizon.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, jednakowo zaskoczeni. Przybysz zieleniał coraz bardziej, chyba ze strachu.

— Kim jesteś i skąd się tu wziąłeś? — spytałem wreszcie.

Milcząco wskazał oczami w górę. Popatrzyłem tam, lecz nie zobaczyłem nic oprócz równego szeregu dachówek, krokwi oraz łat tworzących zrąb dachu.

— Tylko bez kawałów, nie spadłeś przecież z księżyca.

— Z gwiazdozbioru Liry, szanowny Ziemianinie — odpowiedział dziwnym, wylęknionym szeptem.

— Co za bzdury pleciesz! Jakiego gwiazdozbioru?

— Li...

Nie dokończył, tylko skulił się i objął głowę rękami. Chwilę później znowu usłyszałem to dziwne buczenie, ale

jakby nieco niższe. Tym razem nie skończyło się wielkim hukiem, lecz po prostu najzwyczajniej na świecie ucichło.

Mogłoby się wydawać, że mam jakieś halucynacje, jednak nie. Na sianie siedział kosmita. Najprawdziwszy, zielony kosmita.

— Już mnie mają — strwierdził bez sensu.

— Kto cię ma?

— Profesor Put.

Zielony podparł smętnie głowę i pogрузzył się w milczeniu. Zauważyłem, że jego dłonie są niezwykle wąskie, palce długie i cienkie, zakończone owalnymi paznokciami.

— Jaki profesor Put?

Nie odpowiedział, tylko niechętnie machnął ręką.

PRZEJMUJĘ INICJATYWĘ

Siedzieliśmy bez słów. Sytuacja, przyznajcie sami, była niezwykła wszak mało kto wierzy w zielone ludziki, a chyba jeszcze rzadziej miewa z nimi kontakty. Zresztą, w te kontakty też prawie nikt nie wierzy. Ja również nie wierzyłem. Teraz jednak to spotkanie, jakby na nie nie patrzeć, było spotkaniem trzeciego stopnia i jako jedyny na razie przedstawiciel Ziemi, musiałem zadbać o przybysza. Poza tym zżerała mnie ciekawość.

— Dziwny jesteś — przerwałem milczenie — Spadasz nie wiadomo skąd ubrany, jak na bal przebierańców i boisz się jakiegoś profesora Puta, Nic z tego nie rozumiem.

— Zlokalizowali mnie — szepnął w odpowiedzi.

— Wyrażaj się jaśniej

Zielony wzruszył tylko ramionami i spytał:

— Czy widziałeś gdzieś moje szakelo?

— Co?

Nakreślił w powietrzu kształt, który mi niczego nie przypominał i zaczął wokół siebie przeszukiwać siano. Po chwili znalazł mały, srebrzysty walec z krótką antenką i schował do niewidocznej kieszeni w przedniej części kombinezonu. Potem położył płasko dłonie na kolanach, opuścił głowę i zamarł w bezruchu. Usiadłem naprzeciw.

— Opowiedz coś o sobie. Może potrzebujesz pomocy?

Zielony jakby nic nie słyszał. Zacząłem więc z innej beczki.

— Jesteś głodny?

— Nie.

— Chcesz pić?

— Nie.

— Chcesz się czegoś dowiedzieć?

— Tak — nareszcie się ożywił.

— Więc pytaj — zachęciłem go.

— Ile masz lat Ziemiannie?

— Czternaście.

— A twój mózg?

— Też czternaście, chociaż mama mówi, że mam rozum siedmiolatka.

— To ile w końcu?

— Czternaście, a ty?

— Też czternaście, razem z mózgiem.
— Co ty z tym mózgiem? — zdziwiłem się.
— Cieszę się, że ciebie jeszcze nie przeszczepili.
— Co ty znowu z przeszczepianiem? Obsesję masz, czy co?

— U nas na Wiridii — tak nazywa się planeta, z której pochodzę — każdemu kto skończy czternaście lat przeszczepiają mózg.

— Jak to przeszczepiają?

— Wszczepiają go jakiemuś staruszkowi lub staruszce — powiedział spokojnie, jakby mówił o czymś zupełnie normalnym.

— A co się dzieje z mózgami tych staruszków?

— Mózgi staruszków wszczepiają czternastolatkom. To chyba oczywiste.

— I po co to wszystko?

— Chodzi o to żeby nie trwonić bezużytecznie życiowej energii. Dlatego w młode ciała wszczepia się dojrzałe mózgi, które potrafią z nich zrobić odpowiedni użytek.

Ciarki przeszły mi po plecach.

— A co robią młodzi w staruszkach?

— Uczą się, zdobywają zawody, a kiedy odpowiednio zmądrzeją niektórych z nich przeszczepia się z powrotem w młode ciała.

— Dlaczego tylko niektórych?

— Wynika to z ogólnego bilansu, mózg jest bardziej żywotny niż pozostałe organy, no i młodość jest taka krótka. Odliczywszy dzieciństwo stanowi niecałe dwadzieścia procent życia. Łatwo policzyć.

— To znaczy, że młode ciało na pewno się traci, a nie ma pewności, że się je odzyska?

— Tak właśnie jest — Zielony pokiwał głową z rezygnacją.

— Wyobrażam sobie jak u was jest śmiesznie. Babcie grają w klasy, a dziadkowie kopią piłkę i łażą po płotach — powiedziałem i wybuchnąłem śmiechem.

— Przyzwyczailiśmy się, chociaż nie wszyscy uważają to za słuszne. Ja nie chciałem.

— Miałeś rację. Ale powiedz jak tu trafiłeś?

— Uciekłem... Po prostu uciekłem... Zbuntowałem się... Przydzielono mi wyjątkowo zużyte ciało: reumatyzm, astma, płaskostopie i coś tam jeszcze. Co prawda po przeszczepieniu nie odczuwa się żadnych dolegliwości, ale... uciekłem.

To co usłyszałem było niesamowite.

— Jak się tutaj dostałeś? Przecież z gwiazdozbioru Liry jest bardzo daleko. Jeśli dobrze pamiętam... — chciałem sobie przypomnieć odległość, lecz na ten temat miałem akurat lukę w głowie — no... wiele lat świetlnych, a ty spadłeś jak śliwka z drzewa i nawet nie zrobiłeś dziury w dachu. Musiałeś mieć jakiś ekstra pojazd.

Liczyłem na małą przejażdżkę.

— Nie mam żadnego pojazdu.

— To jak się tutaj dostałeś? Przecież to kawał drogi i to w przestrzeni międzyplanetarnej, wiadomo na pewno, że jest tam bardzo zimo i nie ma ciśnienia. Zero bezwzględne i próżnia. Zdaje się, że bujasz.

— Bujać to znaczy unosić się w powietrzu, a ja przecież siedzę. Czyżbyś miał przywidzenia?

— Słowo „bujać” użyłem zamiast „kłamać”, to taka przenośnia. Wytlumacz mi jak przyleciałeś, bo twoje opowiadanie wydaje się nieprawdziwe.

— Użyłem dyslokatora.

— Dys... czego?

— Urządzenia do przenoszenia w przestrzeni. Rozumiesz?

— Nie — przyznałem szczerze.

— To proste. Najtrudniej jest się dostać do ośrodka wypraw kosmicznych, ale jak już tam będziesz wystarczy wejść do kabiny dyslokacyjnej, ustawić współrzędne miejsca, w którym chcesz się znaleźć i włączyć energię. Tyle.

— Dlaczego trafiłeś akurat do stodoły wujka. Działaleś rozmyślnie czy sprawił to przypadek?

— Przypadek, oczywiście, że przypadek.

— Jednym słowem, zrobiłeś sobie przejażdżkę na gapę.

— Jak?

— No... nielegalnie.

Wychowany na filmach science fiction wyobrażałem sobie tę daleką planetę pełną błyszczących kopuł, migających światel, szklanych ulic i niebosiężnych anten. Wszystko zautomatyzowane, wszędzie na straży fotokmórki no i zieloni Wiridianie w srebrzystych kombinezonach. Widziałem Zielonego jak zakrada się do tej swojej kabiny dyslokacyjnej, jak...

— Profesor Put i tak mnie zabierze — przerwał moje rozmyślania — Wracam, szkoda, że tak się skończyło.

— Skoro już tu przybyłeś, to zostań do końca wakacji. Będziesz przynajmniej miał co wspominać. Gwizdź na profesora.

— Nie umię gwizdać.

— Nauczę cię.

— Zostałbym, ale już mnie zlokalizowali.

— Schowam cię.

Zielony uśmiechnął się z politowaniem.

— Łatwo ci mówić, bo nie znasz profesora Puta.

— Kimże do licha jest ten profesor Put?

— Szafem grupy do Spraw Zwalczania Przejawów
Niesubordynacji w Kosmosie, członkiem Rady...

— Kosmos jest wielki, ba, nieskończony. Więc jak on może cię odnaleźć?

— Profesor działa tylko w rejonie galaktyki. Nie mogę zdradzić gdzie znajduje się baza, bo to jest tajemnica, ale wiedz, że ma on do dyspozycji kilkaset robotów, które jak już złapią trop, to nie popuszczą choćby się ukrył pod ziemią.

— Jakim sposobem?

— Natrafili na moją falę.

— Na co? — co chwila czymś mnie zaskakiwał.

— Na częstotliwość fali wysyłanej przez moje szyszeło.

Zdjął pilotkę i wskazał na... kolczyk tkwiący w jego uchu. Zwyczajny kolczyk, podobny do tych jakie noszą dziewczyny. Mówi się, że po nitce można dojść do kłębka, ale po kolczyku?

— To jest mój dowód tożsamości, taki identyfikator — wyjaśnił Zielony widząc moje osłupienie. — A ty jaki masz dowód?

— Nie mam. Rodzice mają dowody osobiste. Ja mam legitymację szkolną i... paszport.

— Gdzie masz?

— Paszport w domu, a legitymację w plecaku.

— A jeżeli się zgubisz, to w jaki sposób cię znajda?

— Będą szukać aż do skutku.

— Ale jak?

— Normalnie, telefonować do znajomych, na policję... Kiedyś ojciec postawił na nogi pół miasta, a ja siedziałem zatrzaśnięty w windzie. Zacięła się. — Mój przypadek był niczym w porównaniu z wyczynem Zielonego, więc czym prędzej wróciłem do sedna sprawy — Jak działa ten kolczyk?

— Ten kamyczek w kolczyku jest kryształem o odpowiedniej siatce — wyjaśnił. — Kiedy padnie na niego fala wywoławcza, odbije ją jako falę o określonej częstotliwości. Każdy ma przypisaną jakąś częstotliwość na całe życie.

— Tylko tyle?

— Wszystkie dane posiada komputer centralny..

Nie dałem mu dokończyć.

— To znaczy, że gdybyś pozbył się tego kolczyka, wtedy nie mogliby cię znaleźć?

— Byłoby trudniej, ale to przestępstwo.

— Głupis. I tak masz już jedno na sumieniu. Pokaż no.

Przysunąłem się do niego chcąc obejrzeć z bliska ten cud techniki. Bezbarwny, mocno błyszczący kamyczek oprawiony był w żółty, jak wysokokaratowe złoto metal, przymocowany do ucha za pomocą gwintowanego sztyfcika i miniaturowej śrubki na podkładce. Proste jak budowa parasola. Jednak wyjęcie tego szczególnego znaku rozpoznawczego okazało się trudne, sprawiało Zielonemu ból. Postanowiłem więc zastosować metodę, jaką stosuje się przy zrywaniu plastrów. Jednym energicznym ruchem szarpnąłem kolczyk. Zielony wrzasnął, z ranki wytoczyła się stróżka ciemnozielonej krwi i było po wszystkim.

Zastanawiałem się, gdzie by go można bezpiecznie schować. „Nosić?” Nie, to niemożliwe. W domu? Ciotka znajdzie i kto wie co z tego wyniknie. W pokoju na poddaszu wśród starych, niepotrzebnych rupieci? Tam również mogą się dostać. Jest!!! Za domem, tuż na linii lasu stała pasieka wujka Tośka. Czy można było wyobrazić sobie lepszą skrytkę?

— Poczekaj tu na mnie — krzyknąłem do Zielonego.

Wyskoczyłem ze stodoły i pobiegłem do szopy. Kolczyk umieściłem w pudełku po zapalkach, owinałem papierem i obwiązałem sznurkiem. Teraz należało tylko umieścić pakunek w jednym z uli.

Widziałem już wcześniej, jak wujek radził sobie z pszczołami i wydawało mi się, że ja też potrafię. Ubrałem długie spodnie, sweter, założyłem kapelusz z siatką i rękawice, rozpałiłem podkurzacz, i tak uzbrojony ruszyłem na pasiekę.

Początkowo szło nieźle. Ostrożnie podniosłem dach jednego ula. Woskowe plastry były aż czarne od pszczoł. Ogólnie pomysł z takim schowkiem był bardzo dobry, natomiast trudny do realizacji w szczegółach. Nie mogłem zostawić pudełka na ramkach, gdyż od razu zauważyłby je wujek, gdyby przyszła mu ochota sprawdzić jak przebiega produkcja miodu. Nie mogłem też wrzucić go na dno ula, ponieważ w razie potrzeby miałbym kłopot z jego wydobyciem. Najlepiej było pudełko przykleić przylepcem pod listwą podtrzymującą ramki. Przylepca nie miałem, rzecz jasna.

Pobiegłem do domu. Z apteczki wyjąłem plaster lekarski i nożyczki, i wróciłem do ula. Dotąd wszystko szło dobrze. Wystarczyło jednak, że ruszyłem jedną ramkę, rozległ się groźny pomruk, jakbym co najmniej naruszył spokój niedźwiedzia, a nie małych owadów. W chwilę potem koło mojej głowy zaroila się rozwścieczona chmura, dając aż nadto wyraźnie odczuć, że uważają mnie za intruza. Atakowały zajadle starając się przebić żąłdami przez ubranie i, niestety, udało im się to kilka razy.

Z największym trudem umieściłem pudełko z kolczykiem mniej więcej tam gdzie zamierzałem, zamknąłem ul, ale w żaden sposób nie mogłem się pozbyć tych bojowo nastawionych stworzeń, tym bardziej, że podkurzacz czegoś ledwo się kopcił i jego rola odstraszająca była żadna.

Biegałem w koło po podwórku, a to kąśliwe lichy za mną. Wpadłem do domu lecz nie byłem dość szybki, żeby zatrzasać przed siedzącym mi na karku i żadnym mojej krwi rojem, drzwi.

Wreszcie doszedłem do wniosku, że tylko fortem mogę wyjść z opresji i wskoczyłem do ogromnej beczki, w której ciocia zbierała deszczówkę. Poskutkowało. Pszczoły jeszcze chwilę pobrzęczały nad moją warownią, potem widocznie doszły do wniosku, że mam dość, i dały mi spokój.

Ociekając wodą wróciłem do stodoły i stwierdziłem z przerażeniem, że Zielony zniknął. „Może go porwali, gdy ja uganiałem się z pszczołami? Ale jak?” Zacząłem snuć pesymistyczne domysły. Już chciałem go wołać chociaż, gdyby moje przypuszczenia były prawdziwe, na nic by się to zdało. Na szczęście siano poruszyło się i Zielony, ubrany w żdźbła, ukazał się moim oczom. Odetchnąłem z ulgą.

— Wszystko jest o' key. Znalazłem schowek na sto dwa. Nawet stary diabeł go nie znajdzie, a co dopiero ten twój profesor. Nie martw się, ze mną nie zginiesz. Z każdej sytuacji jest wyjście, trzeba tylko mieć głowę na karku.

Spojrzałem na zegarek. Zostało nam niewiele czasu, lada moment mogła wrócić ciocia Zosia, trzeba było więc działać.

— Chodź, ukryję cię w swoim pokoju.

— Masz wolną szufladę? — spytał trochę od rzeczy.

— Mam szuflad do wyboru do koloru. Pospiesz się.

Z największą ostrożnością przebiegliśmy przez podwórze, potem na poddasze. Zielony sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

— Co to jest? — spytał wskazując na łóżko.

— Łóżko. Na tym się śpi.

— A to?

— Szafa. W niej się trzyma ubrania i takie różne inne rzeczy.

— A szuflady?

— Ta komoda ma przecież cztery szuflady, chyba ci wystarczy, bo tylko w jednej trzymam skarpetki i bieliznę.

— Nie taką szufladę miałem na myśli.

— A jaką?

— Mniejsza z tym. Będę spał pod łóżkiem.

— Możesz spać ze mną, w łóżku.

— Pod łóżkiem będzie bezpieczniej.

— Niech tak będzie. Dam ci koc i jasek.

Przebrałem się w suche rzeczy. Spojrzałem w okno i zobaczyłem przy końcu ścieżki ciocię Zosię i wujka Tośka. Zielony też ich zauważył i zaniepokoił się.

— Kto to jest? — spytał.

— Rodzina, ale na wszelki wypadek nie wchodź jej w drogę.

— W porządku, włożę pod łóżko.

— Wrócę za niecałą godzinę — obiecałem mu wychodząc.

Wtedy byłem przekonny, że najgorsze mamy za sobą. Czas pokazał, że było inaczej.

PORWANIE

Dochodziła siódma, pomagałem cioci przygotować kolację. Uwijałem się jak w ukropie, bo chciałem jak najprędzej iść na poddasze. Mógłbym co prawda powiedzieć, że nie jestem głodny, bo rzeczywiście nie byłem, lecz nie mogłem dopuścić, żeby ciocia przyniosła mi jedzenie do łóżka. A zrobiłaby tak na pewno ponieważ uważała, że dla młodych ludzi odżywianie i sen to podstawa zdrowia. Za bardzo się spieszyłem, co wujkowi wydało się podejrzanym. Przyjrzał mi się badawczo.

— Co ty jesteś taki rozgorączkowany? Dziwnie jakoś wyglądasz.

Ciocia odłożyła nóż.

— Rzeczywiście, jakbyś był podpuchnięty.

— E tam, drobiazg, pszczoła mnie użądliła — usiłowałem zbagatelizować całą sprawę.

— To ci nie zaszkodzi, a nawet dobrze zrobi. Nie będziesz miał reumatyzmu, jednak na wszelki wypadek zaparzę ci herbatkę z szałwi i zaniosę na górę.

To w ogóle nie wchodziło w rachubę.

— Niech się ciocia nie fatyguje, wypiję ją zaraz tutaj. Zaczekam aż się zaparzy.

Nie znosiłem szałwi jak chyba każdy człowiek na świecie, lecz nie mogłem przecież dopuścić do zdemaskowania kosmity. Wypiłem więc tę piekielną herbatę starając się robić minę, jakbym jadł przynajmniej lody. Chyba przesadziłem gdyż ciocia powiedziała:

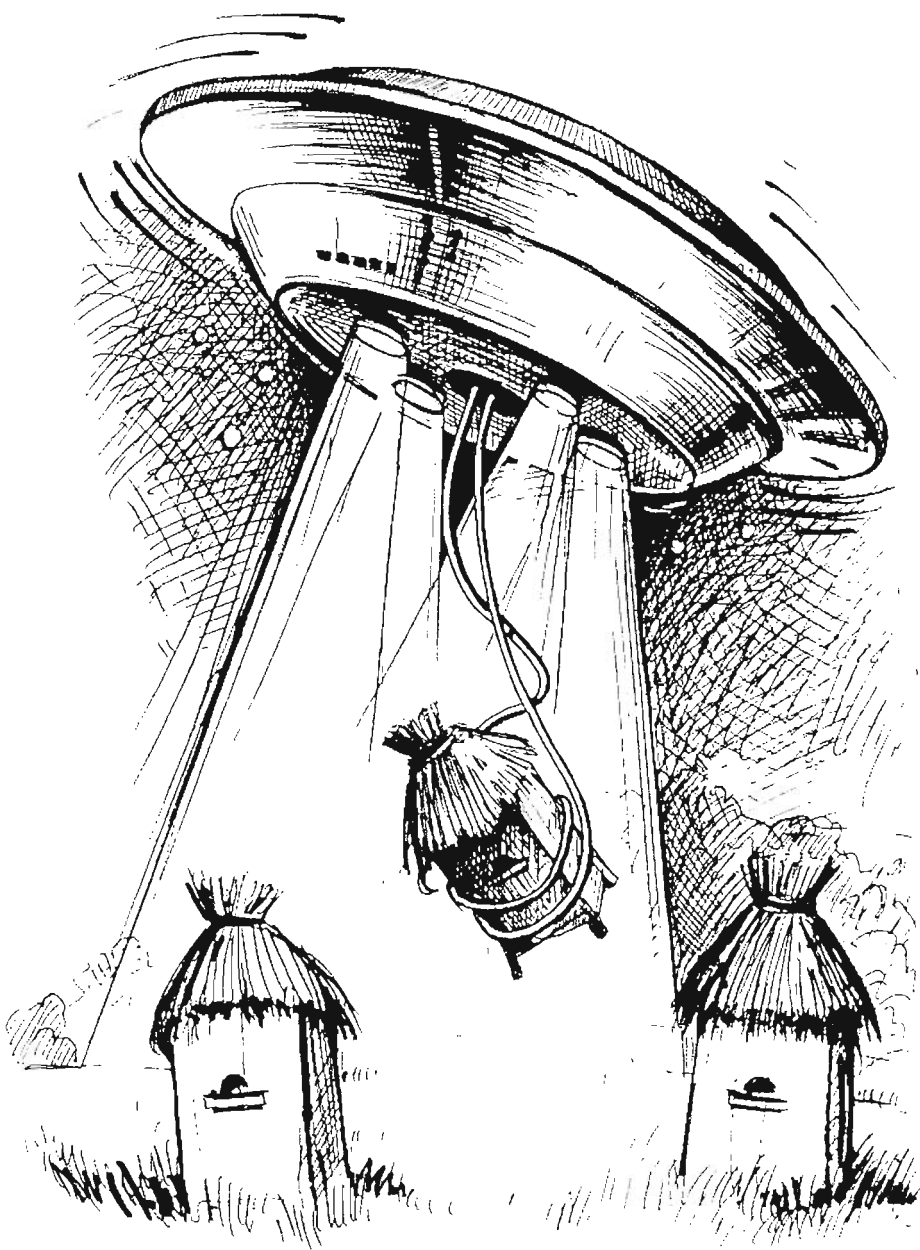
— Widzę, że ci smakuje, to bardzo dobrze, szałwia jest bardzo zdrowa.

— Uwielbiam szałwię — zapewniłem jakby mi odjęto rozum.

— Ach to świetnie — ucieszyła się. — Co wieczór będę ci ją zaparzać.

Jęknąłem w duszy, lecz trudno. Zawsze wielkie sprawy wymagają wielkich poświęceń. Pokręciłem się jeszcze chwilę po kuchni, wsunąłem ukradkiem do kieszeni dwie kanapki i pobiegłem nareszcie do siebie. Zielonemu nie przypadł do smaku ani chleb, ani ser, ani nawet masło. Wszystko to po kolei powąchał nieufnie, ugryzł i wypluł.

— Tego mój żołądek nie strawi — jęknął.



— A co byś zjadł?

— Czy ja wiem? Nie potrafię tego sprecyzować.

Usłyszeliśmy, że ktoś idzie po schodach. Zielony błyskawicznie dał nura pod łóżko. Weszła ciocia Zosia.

— Przyniosłam ci jeszcze jedną herbatkę z szałwi — oświadczyła rozpromieniona. — Skoro tak lubisz to nie będę ci żałować.

Dostałem czkawki, lecz wmusiłem w siebie jakoś ten wstrętny płyn. Zdobyłem się nawet na to by powiedzieć obłudnie:

— Naprawdę wspaniała jest ta szałwia. Dziękuję ciociu.

— Może jeszcze przynieść? — mój niczym nie uzasadniony entuzjazm dla jakiegoś idiotycznego, parzonego ziółka, wyraźnie ją ujął.

— Ależ nie fatyguj się już ciociu, za dużo by było tego dobrego.

Jednak ciocia w dobroci serca nie chciała pozbawić mojego podniebienia tej wątpliwej rozkoszy i wróciła jeszcze raz. Przekonałem ją, żeby zostawiła szłwie to wypiję ją przez noc. Kiedy wreszcie zamknęła za sobą drzwi odechnąłem z ulgą.

Zielony wylazł spod łóżka i pociągnął nosem.

— Ach, co za zapach! Mogę?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć wypił duszkiem całą zawartość filizanki.

— To lubię — oblizał się.

— Kochany, z nieba mi spadłeś! Chętnie odstąpię ci każdą ilość tego paskudztwa. Poza tym jutro, za dnia, rozejrzę

się po spiżarni, a nocą, gdy już wszyscy zasną pójdziemy tam i ustalimy co jest dla ciebie jadalne. Wytrzymasz?

— Wytrzymam.

Ściemniło się lecz nie zapalaliśmy światła. W mroku oczy Zielonego błyszczły kocio. Dla mnie nie tylko jego wygląd był niezwykły, imponowały mi również motywy jego działania, bo przyznajcie sami, ileż trzeba mieć charakteru żeby przeciwstawić się zwyczajowi przyjętemu za normę.

— Oni będą tutaj dzisiaj — przerwał moje rozmyślenia.

— Dzisiaj, jutro czy za tydzień i tak nie znajdą, ani ciebie, ani twojego kolczyka — uspokoiłem go.

— Nie znasz profesora, lepiej miejmy się na baczności.

Miał rację. Nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika, szczególnie wtedy, gdy się niewiele o nim wie. Postanowiliśmy czuwać.

Dobrze się złożyło, że okno mojego pokoju wychodziło na pasiekę, mieliśmy więc na oku naszą skrytkę. Długo siedzieliśmy na parapecie wpatrując się w noc. Dochodziła już pierwsza po północy, gdy nagle Zielony zerwał się i wślizgnął pod łóżko. Odruchowo spojrzałem w niebo jednak nie zauważyłem niczego, co go tak przestraszyło. Dopiero po upływie kilku minut zorientowałem się, że jedna gwiazda świeci coraz jaśniejszym, pomarańczowym blaskiem. Stałem za firanką tak, abym mógł jak najwięcej widzieć, sam będąc niezauważony.

Świetlny punkcik pęczniał w oczach wreszcie przybrał kształt talerza, a raczej dwóch talerzy złożonych denkami

na zewnątrz. Spod spodu wydobywał się blask niczym z rozświetlonego słońcem lustra. Latający obiekt zniżył się nad pasiekę, przez kilka minut trwał nieruchomo, po czym wysunęła się z niego para cienkich jak szpagat linek, które zwinnie omotały ul. Rozległo się niskie buczenie i zobaczyłem jak caluteńki ul unosi się w górę i znika we wnętrzu pojazdu, który po chwili bezgłośnie odleciał z powrotem do gwiazd. Minęło sporo czasu zanim ochłonałem z wrażenia.

— Zielony, udało się — prawie wykrzyknąłem.

Zielony wyszedł spod łóżka i ostrożnie wyjrzał przez okno.

— Co oni zrobili?

— Zabrali ul! Wyobrażam, sobie jak będzie wyglądał profesor, gdy zajrzy do środka. Ale numer! — cieszyłem się. — Jestem w stanie zrozumieć, że profesor nie wie, iż na ziemi w takich drewnianych skrzynkach z małą sparką mieszkają owady wytwarzające miód, ale powinien ocenić na oko, że nie zmieści się w nich czternastoletni chłopiec. Moim zdaniem ten twój profesor nie jest aż takim asem, jak go reklamujesz.

— Zapewniam cię. Profesora trudno oszukać. Dzisiaj przyleciały tu tylko roboty, odnalazły mój identyfikator i zabrały razem z ulem.

— Wszystko jedno, najważniejsze, że teraz nic ci nie grozi.

Ułożyliśmy się spać. Ja na łóżku, a Zielony pod łóżkiem owinięty w koc. Przez całą noc dręczyły mnie koszmary.

Śnił mi się profesor Put o twarzy podobnej do Pitagorasa, mojego nauczyciela od matematyki. Był, rzecz jasna, Zielony i miał na głowie śmieszny biret z anteną. Cały opuchnięty od ukąszeń pszczoł, gonił mnie po jakiś niekończących się korytarzach, usiłując złapać na lasso cienkie jak szpagat.

BAŚKA

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów. Za oknem było słonecznie jak wczoraj. Kosmita spał spokojnie pod łóżkiem lekko posapując. Przeciągając kości zastanawiałem się co zroboi profesor Put, gdy zobaczy ul. Oczami duszy widziałem jak dostojny zielony pan biega po swoim wielkim statku oganiając się od pszczoł i ogarnęła mnie wesołość. Nie na długo. Mimo śmiesznych obrazków podsuwanych mi przez wyobraźnię wiedziałem, że z całą pewnością profesor nie zaprzestanie poszukiwań, a ja nie miałem żadnego pomysłu co robić dalej.

Ubrałem się i zszedłem na dół. Ciocia Zosia stała przy kuchni.

— Och nareszcie jesteś. Już miałam iść cię budzić, dochodzi przecież południe. Z nudów pewnie tyle śpisz?

— Nie ciociu.

Nie miałem ochoty na rozmowę, myślałam byłam przy Zielonym.

— Wiem, że się nudzisz. Młodość ciągnie do młodości, prawda?

— O tak — przyznałam.

— Więc będziesz miał towarzystwo. Dzisiaj przyjeżdża Basia z Leska, córka mojej przyjaciółki z liceum. Jest w twoim wieku. Bardzo mądra i roztropna dziewczynka, chce w przyszłości zostać fizykiem. Może się od niej czegoś nauczyć...

Tu ugryzła się w język. Wyraźnie widać było, że nie chciała mi sprawiać przykrości przypominaniem szkolnych niepowodzeń.

Zanim uświadomiłam sobie jak skomplikuje się sytuacja, kiedy zjawi się tutaj dziewczyna, usłyszeliśmy wołanie wujka. Ciocia wyrzła przez okno i po chwili wybiegła na podwórze. Domyśliłam się, że został zauważony brak ula. Pobiegnęłam za ciocią.

Wujek stał pośrodku pasieki i wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze wczoraj tkwiła pszczela rezydencja. Stanęliśmy w bezpiecznej odległości.

— Co się stało? — zapytałam starając się zrobić jak najbardziej niewinną minę.

— Zniknął jeden ul. Po prostu zniknął razem z kołkami — odrzekł wujek.

— Chyba ktoś ukradł — wyraziłem inteligentne przypuszczenie.

— Pewnie, że ukradł. Tylko zastanawiam się, jak to zrobił. Wygląda na to, że podniósł go idealnie do góry, bo dookoła ziemia jest nienaruszona. Nie podoba mi się ta historia.

Wyszedł z pasieki i zbliżył się do nas. Przez chwilę w zamyśleniu drapał się w głowę, wreszcie zawołał Burka. Pies przybiegł natychmiast.

— Już my tego złodzieja złapiemy! Znam w Bieszczadach każdy metr ziemi, jak własną kieszeń. No, szukaj piesku — rozkazał.

Jednakże ten, ponoć najlepszy tropiciel śladów w południowo-wschodniej Polsce, zamiast złapać trop i rwać za złoczyńcami, po prostu kręcił się w kółko.

— Szukaj, szukaj... — zachęcał go wujek, lecz na nic to się zdało. Nie mogąc liczyć na psa sam wyruszył na poszukiwanie.

— Halo! Ciociu jestem! — usłyszeliśmy wołanie od strony domu.

Odwrociłem się gwałtownie i zobaczyłem biegnącą w naszym kierunku dziewczynę. W tamtej chwili było to dla mnie tak wielkie nieszczęście, że trzeba pióra Sofoklesa, by oddać jego ogrom.

Dziewczyny są chyba przekleństwem mojego życia. W domu Aśka, wzór do naśladowania na każdą okazję, a tutaj zjawia się następna chodząca doskonałość — to znaczy porządna, ułożona i grzeczna. „I do tego chce zostać fizykiem” — przypomniałem sobie. Czy takie zalety mogły zachwycić normalnego chłopaka? Poza tym była chuda,

piegowata i miała dwa grube warkocze, dziewczynskim zwyczajem przystrojone idiotycznymi kokardami. Ale dość tych rozważań. Baśka zjawiła się nagle i byłem przekonany, że popsuje mi całą przygodę.

Po powitaniach i zapewnieniach cioci, że Basia jest przeziłą dziewczynką, a ja wspaniałym chłopcem (to prawda), udało mi się wymknąć na poddasze. Zielony wyrzął spod łóżka.

— Co się stało? — zaniepokoił się.

— Okropność! Dziewczyna! — wyrzuciłem z siebie jednym tchem usiłując gestami określić ogrom nieszczęścia, jakie na nas spadło, bo Zielny myślał przecież innymi kategoriami niż my, Ziemiańskie.

— Dziewczyna, niedorośła płeć żeńska człowieka? — wyrecytował i popatrzył na mnie pytająco.

Pokiwałem głową.

— Straszna?

— Jeszcze jak! Chuda, piegowata i na pewno wścibska papuga — starałem się jak najdokładniej uwypuklić wszystkie niewątpliwe wady Baśki.

— Co? Niedożywiona z piórami? — zdziwił się.

— To tylko przenośnia literacka.

Długo tłumaczyłem mu jak rozumieć przenośnię w ogóle, potem dopiero wyjaśniłem jakie nieszczęścia mogą spowodować dziewczyny. Ledwo skończyłem, na schodach rozległy się czyjeś kroki. Zielony uciekł, jak zwykle pod łóżko, a do pokoju wpadła Baśka, żeby powiedzieć mi, że mam zejść na obiad.

DIABEŁ W SPIŻARNI

Zaraz po kolacji wymknąłem się na górę. Było to łatwe, gdyż Baśka tak zajęła ciocię i wujka paplaniem, że nie zwracali na mnie uwagi. Zabrałem ze sobą spory dzbanek herbaty z szałwi, jak dotąd jedyne go ziemskiego pożywienia kosmity.

Zgodnie z planem poszedłem na rekonesans do spiżarni i stwierdziłem, że będzie w czym wybierać. Półki aż ugięły się od wszelkiego, kulinarnego dobra. Byłem pewien, że Zielony znajdzie tu coś dla siebie. Należało tylko poczekać na odpowiednią porę.

Pewnie wydaje się Wam, że Zielony usychał z nudów pod łóżkiem. Otóż wcale nie, gdyż, od rana do wieczora,

oglądał telewizję. Wszystko jak leci, a najchętniej kreskówki. Aparat znalazłem rzecz jasna w rupieciarni, miał mały ekran, pękniętą obudowę i zacinające się przełączniki, lecz był na chodzie. Tego wieczoru sam dołączyłem do Zielonego, bo na drugim kanale wyświetlano wyjątkowo ciekawy film.

Jak pamiętacie było postanowione, że nocą, kiedy wszyscy będą twardo spali, zakradniemy się do spiżarni i ustalimy co dla niego jest jadalne. Porozmawialiśmy więc jeszcze godzinę, nastawiłem budzik na pierwszą po północy i najzwyczajniej na świecie zasnąłem. Ale nie było mi dane spokojnie spać.

Obudził mnie przeraźliwy krzyk dochodzący z dołu. Usiadłem na łóżku nad słuchując. To krzyczała ciocia Zosia. Po chwili krzyk się urwał, jak ucięty nożem ustępując podniesionym głosom wujka Tośka oraz Baśki. Zbiegłem szybko na dół. To co zobaczyłem, wprawiło mnie w osłupienie. W kuchni na podłodze leżała ciocia, wujek robił jej sztuczne oddychanie, a Baśka okładała mokrym ręcznikiem głowę. Przepędowałem z nogi na nogę nie wiedząc co robić. Na szczęście ciocia wreszcie otworzyła oczy i błędnym wzrokiem rozejrzała się dokoła. Pomogliśmy jej wstać i usiąść na krześle.

— Co się stało? — spytał wujek.

— Diabeł... — odpowiedziała z trudem i drżącą ręką wskazała na drzwi spiżarni.

Zrobiło się nam nieswojo. Wujek wyszedł na palcach na korytarz i przyniósł dubeltówkę na grubego zwierza. Zamarliśmy w oczekiwaniu. Wujek tymczasem kopnięciem otworzył drzwi i krzyknął:

— Ręce do góry!

Z wnętrza spiżarni nie dochodził żaden głos. Blask padający z kuchni oświetlał półki z kompotami, powidłami i kiszonymi ogórkami. Wujek zapalił światło. Nie było w niej nikogo.

— Zdawało ci się — uspokoił ciocię.

— Ależ widziałam doskonale — upierała się drżącym głosem. — Otworzyłam drzwi, a on stał z butelką octu w ręce.

— Może jakiś złodziej wszedł przez otwarte okno. Trzeba je zamykać na noc.

— Mówię ci, że to był diabeł — powiedziała z naciśkiem ciocia.

— Wszyscy złodzieje to diabelskie nasienie — skwitował wujek.

— Kiedy to był najprawdziwszy diabeł tyle, że zielony — ciocia zaszlochała w tym miejscu. — Prawdziwy zielony diabeł. I tak mnie przestraszył...

Kolana ugięły się pod mną, byłem pewny, że to mój kosmita. Spodziewałem się najgorszego.

— A może Marsjanin? — zażartował wujek. — Ostatnio w gazecie pisali o latających talerzach.

— Na Marsie nie ma życia — wtrąciła autorytatywnie Baśka.

— Kto tam może wiedzieć? — machnął ręką wujek.

— To jest stwierdzone naukowo, chociaż niektórzy uczeni uważają, że przedstawiciele innych, pozaziemskich cywilizacji odwiedzają naszą planetę — wymądrzała się.



— A teraz zakradli się do spiżarni cioci, żeby zrobić zapasy na dalszą kosmiczną drogę — powiedziałem z przekąsem.

Baśka poczerwieniała jak piwonia i spojrzała na mnie wzrokiem bazyliuszka.

— Idźcie już spać — poradził nam wujek. — Diabeł czy Marsjanin na pewno już nie wróci. A swoją drogą, dlaczego pies nie szczekał? Coś mi się zdaje, że trzeba pilnować, aby jego samego nie ukradli.

Pobiegłem do swojego pokoju i zajrzałem pod łóżko. Zielonego nie było. Nie miałem już żadnych wątpliwości, jakiego diabła zobaczyła ciocia Zosia w spiżarni. Musiałem go koniecznie odszukać.

Odczekałem aż na dole zapanuje zupełna cisza, zszedłem na palcach na parter, odryglowałem drzwi i bezszelestnie wymknąłem się na podwórze. Podbiegł do mnie zdyszany Burek, poklepałem go po łbie, żeby nie szczekał. Obeszliśmy dokoła domu, lecz po Zielonym nie było ani śladu. Zastanawiałem się dokąd mógł pójść, i jedno co przychodziło mi do głowy to stodoła, tym bardziej, że wrota stodoły stały lekko uchylone, a zazwyczaj zamykano je na noc.

— Hej, Zielony, jesteś tu? — spytałem scenicznym szeptem.

Siano zaszeleściło i po chwili z ciemności wyłonił się domniemany diabeł.

— Jestem.

— Ale narozrabiałeś. Ciocia zemdłała, wujek chciał zastrzelić złodzieja a Baśka bredziła o kosmitach.

— Nie chciałem cię budzić i sam zakradłem się do spiżarni, a dalej to już wiesz. Wyskoczyłem przez okno i ukryłem się tutaj. Zdaje się, że za dużo masz ze mną kłopotu. Odnajdę profesora i wszystko się skończy...

— Głupstwa gadasz — ofuknąłem go. — Po pierwsze nie masz identyfikatora, a po drugie pomyśl jak będziesz wyglądał po przeszczepieniu. Na pewno coś wymyślimy, a teraz wracajmy.

Przebiegliśmy chyłkiem przez podwórze i z największą ostrożnością wspięliśmy się na poddasze. W całym domu panowała idealna cisza, jeśli nie liczyć basowego chrapania wujka. Po omacku doszedłem do łóżka, za mną jak cień podążał Zielony.

— No, udało się — odetchnąłem z ulgą i w tej samej chwili rozbiłyś światło. Zielony z łomotem dał nura pod łóżko.

— Ach to tak — usłyszałem głos Baśki.

Odwróciłem się. Stała przy drzwiach z ręką na przełączniku.

— Ty tutaj?

— Od razu wiedziałam, że coś knujesz. Pokaż się kolego — zawołała w kierunku łóżka.

— Tam nikogo nie ma! — próbowałem ratować sytuację.

— Nie wygłupiaj się, wszystko widziałam. No wyłaż — pochyliła się.

Spod łóżka wysunęła się głowa Zielonego, potem cała reszta. Baśkę zamurowało.

— Ach, jaki on zielony — wydukała dopiero po dłuższej chwili.

— A ty jesteś wścibska i co z tego! Każdy ma jakieś wady — odciąłem się.

Baśka zignorowała moją złośliwość i wdała się w rozmowę z Zielonym, który bez oporów opowiedział jej całą swoją historię. Była zachwycona.

— Interesuje mnie skąd tak doskonale znasz nasz język? — spytała wreszcie.

To pytanie wydało mi się całkiem logiczne, sam nie wiem dlaczego go wcześniej nie zadałem.

— Mam kaszelo.

— Co to jest kaszelo? Pokaż.

Zielony otworzył szeroko usta. Baśka z zaciekawieniem oglądała jego uzębienie, zielony język oraz podniebienie. Ja również nie mogłem powstrzymać swojej ciekawości, chociaż tak naprawdę to nie bardzo wiedziałem czego szukać. Wszystko, poza kolorem, wyglądało mniej więcej tak samo jak u mnie.

— Nic nie widzę — powiedziała Baśka.

— To ten — Zielony wsadził palec do ust i pakował... trzonowy ząb.

Ząb jak ząb, niczym nie różnił się od pozostałych poza, oczywiście, innością wynikającą z naturalnej różnorodności zębów. Ale Baśka chyba zobaczyła więcej niż ja, bo spytała:

— Na jakiej zasadzie to działa?

— Jest to taki analizator tekstowy przetwarzający pojęcia na słowa. Myślę i mówię po swojemu, a on tłumaczy to na wasz język i odwrotnie.

— To ząb za ciebie mówi? — zdziwiłem się.

— Nie, ja mówię, o on nadaje tylko moim słowom brzmienie dla was zrozumiałe.

Ni w ząb nie mogłem zrozumieć tego zęba, ale przestałem dalej dociekać jak to naprawdę jest, żeby nie wyjść na ciężko myślącego.

— Co zamierzaliście robić dalej? — spytała rzeczowo Baśka.

— Jeszcze nie ustaliliśmy szczegółowego planu — mruknąłem niechętnie, bo przecież tak naprawdę nie miałem żadnej koncepcji.

— Musimy się dobrze zastanowić i coś zrobić. Ale teraz czas spać, wkrótce będzie świtać.

Rzeczywiście na wschodzie niebo już jaśniało czerwonością. Była to najwyższa pora, żeby jeszcze skorzystać z nocy. Baśka wyszła, a my ułożyliśmy się do snu. Nawet nie wiem kiedy usnąłem.

WYPRAWA W GÓRY

Nazajutrz po śniadaniu w moim pokoju odbyła się narada. Nikt nam nie przeszkadzał, ponieważ ciocia Zosia pojechała do siostry do Sanoka (na pewno chciała jak najprędzej opowiedzieć jej historię z zielonym diabłem), a wujek poszedł na obchód lasu. Trudno to nazwać naradą, bo Baśka przedstawiła nam swój projekt, a my go zaakceptowaliśmy. Byłem trochę zły, że dziewczyna przejęła inicjatywę, lecz nic mądrzejszego, niż zaproponowała ona, nie przyszło mi do głowy. Zielonemu też nie.

Baśka proponowała iść w góry i dostosować swoje działanie do sytuacji. Trudno bowiem było przewidzieć przebieg

wypadków, zaś ukrywanie dłużej Zielonego pod łóżkiem na poddaszu nie miało sensu. Jednego tylko mogliśmy być pewni, że profesor Put będzie próbował odnaleźć i porwać Zielonego. On sam zaś powątpiewał, czy uda nam się gdziekolwiek dojść, ponieważ, jak twierdził, możliwości profesora są niemal niograniczone. Tak czy owak niczego to nie zmieniło i ostatecznie postanowiliśmy wyruszyć w góry. Zadania zostały rozdzielone.

Baśka przekonała ciocię, że powinniśmy się wybrać na górską wycieczkę. Przytakiwałem jej i twierdziłem, że o niczym bardziej nie marzę, niż o takiej wyprawie. Baśka zapewniała ją, że zaraz za Dołżycą dołączymy do obozu harcerskiego, gdzie ma kilka koleżanek.

Żeby niczego nie zapomnieć, zrobiliśmy odpowiedni spis rzeczy, które obowiązkowo powinniśmy ze sobą zabrać. Po namiot, butlę gazową, materace i inne niedostępne na miejscu drobiazgi Baśku pojechała do Leska, resztę kompletowałem sam, bazując głównie na rupieciarni i ciocinej spiżarni.

Wyruszyliśmy następnego dnia wczesnym rankiem. Zielony, który wymknął się z leśniczówki odpowiednio wcześniej, czekał na nas ukryty w gęstej olszynie. Przepakowaliśmy plecaki. Zielony podjął się nieść najcięższy, ponieważ mógł skorzystać z antygravitatora, który u Wiridian jest tak powszechny jak u nas drobne pieniądze. Ja niosłem średni plecak, a Baśka najlżejszy. W razie potrzeby mieliśmy się zmieniać na trasie.

Baśka szła pierwsza, za nią Zielony, a ja na końcu. Posuwaliśmy się gęstym lasem bez żadnych ścieżek. Prawie na

czworakach wspinaliśmy się w górę, to znów na łeb i szyję, trochę na butach, trochę na siedzeniu, potykając się o korzenie i wystające głazy, zjeżdżaliśmy stromymi stokami w dół.

Dopiero teraz zobaczyłem jakie naprawdę są Bieszczady. Te, na pierwszy rzut oka łagodne góry, przy bliższym poznaniu okazały się dzikie i niedostępne. Z dala od wydeptanych szlaków turystycznych odnosiło się wrażenie, że od czasu stworzenia my pierwsi tutaj wtargnęliśmy.

Najwyraźniej brakowało mi wprawy w chodzeniu po górach, bo przecież na kondycję nigdy nie narzekałem. Tymczasem pot zalewał mi oczy i kłuło mnie w lewym boku, lecz wstydziłem się przyznać, że nie mogę dotrzymać kroku dziewczynie. Od czasu do czasu przystawaliśmy, aby sprawdzić czy dobrze idziemy i wtedy łapałem gębszy oddech. Być może musiałbym głośno powiedzieć o swoim zmęczeniu, ale zauważyłem, iż kosmita coraz częściej się potyka nawet na stosunkowo prostych odcinkach. Wyraźnie opadał z sił.

— Jak sobie radzisz? — spytałem go.

— Nie jestem przyzwyczajony do takiego forsownego chodzenia — przyznał.

— Baśka zwolnij tempo. Czy musimy tak się spieszyć? Zielony ledwo zipie — ujmować się za zmęczonym kolegą to zupełnie inna sprawa, niż pokazywać własną słabość.

— Chciałam abyśmy jak najprędzej opuścili rewir wujka Tośka.

— Dużo jeszcze tego rewiru?

— Nie. Widzicie tamten szczyt z połoniną? To Falowa. Tam odpoczniemy.

Widoczny cel zawsze działa mobilizującą. Nawet przyszła mi ochota na pogawędkę.

— Zielony, czy na Wiridii też są takie góry? — zacięka-
wiło mnie.

— Są.

— Łatwiej się po nich chodzi?

— Po nich się nie chodzi.

— Dlaczego?

— To niebezpieczne.

Ze słów Zielonego wyciągnąłem szybki wniosek, że wysoka kultura techniczna wydelikaciła Wiridian. Na Ziemi jest przecież podobnie. Ludzie przyzwyczajeni do wygod bardzo niechętnie decydują się na wysiłki fizyczne. Za najlepszy dowód słuszności swojego rozumowania, uznałem fakt wynalezienia przez nich antygravitatora. Czas pokazał, że nie miałem racji, ale to daleka przyszłość.

Wreszcie dotarliśmy do celu. Z prawdziwą ulgą zrzuciłem plecak i nareszcie usiadłem. Zielony się położył, tylko Baśka nie okazywała żadnych oznak zmęczenia i zabrała się do przygotowywania obiadu. Dla nas zagrzała bigos z puszki, zjedliśmy go z chlebem, Zielony zadowolił się czterema cebulami i torebką pieprzu. Na deser — jak wynikało z błęgiego wyrazu jego twarzy, gdy chrupał czarne ziarenka. Brr. Przynajmniej, że to dziwne upodobanie kulinarne,

ale mogło być gorzej. No, bo strach pomyśleć, co by było, gdyby na przykład, jak pewna księżniczka z „Księgi tysiąca i jednej nocy”, jadł tylko diamenty.

Odpoczęliśmy porządnie i po dwóch godzinach ruszyliśmy dalej.

PIERWSZA NOC W GORACH

Z Falowej, łagodnym trawersem, zeszliśmy obok dzi-
kiego uroczyska, gdzie chyba sam diabeł powiedział dobra-
noc, i wspięliśmy się na gęsto porośniętą olchą, Czereninę.

Zatrzymaliśmy się pod myśliwską amboną. Rozbijanie
namiotu, nadmuchiwanie materacy i rozpakowywanie ple-
caków zajęło prawie półtorej godziny. Zielony pomagał nam
całkiem sprawnie, chociaż, jak sam się przyznał, nigdy
w życiu nie widział turystycznego sprzętu, ani nie biwako-
wał pod gołym niebem. Biedak.

Baśka zabrała się za pichcenie kolacji, my natomiast przy-
gotowaliśmy bezpieczne miejsce na ognisko. Wybraliśmy

miejsce wolne od drzew i krzewów, wykopaliśmy płytki dołek, obłożyliśmy go kamieniami i naznosiliśmy suchego drzewa.

Zapadł zmrok. Rozpaliliśmy ogień i usiedliśmy do jedzenia.

Nigdy w życiu nie czułem takiego głodu, mógłbym zjeść konia z kopytami i jeszcze coś na dokładkę. Gdyby moja mama widziała jak pałaszuję gulasz z makaronem, to pewnie uznałaby, że zdarzył się gastronomiczny cud. Dotąd bowiem makaron wywoływał u mnie silny odruch wymiotny.

Wszystko było fajnie, lecz nie wytworzyła się jeszcze między nami owa zażyłość, jaka powstaje po dłuższym czasie. Na dodatek bardzo wiele nas różniło: Baśka była dziewczyną, a Zielony kosmitą. Chociaż patrząc z drugiej strony trzeba by przyznać, że z Baską łączyło mnie ziemskie pochodzenie, a z Zielonym płęć, ale mimo wszystko tego wieczoru odnosiliśmy się do siebie z pewną dozą rezerwy. Wiecie jak to jest na początku każdej znajomości. Na szczęście nie brakowało nam tematów do rozmowy i dzięki temu nie mieliśmy problemów z kłopotliwym milczeniem, kiedy to nie wiadomo jak się zachować. Właśnie owe różnice były niewysychającym źródłem pytań, odpowiedzi, wyjaśnień i porównań.

Kiedy zaczął nas już możyć sen Baśka powiedziała:

— Musimy ustalić kolejność czuwania. Proponuję: najpierw Zielony, potem ja, a na końcu Wojtek.

— Uważam, że dziewczyna powinna być z tego wyłączony — zaproponował Zielony używając wobec Baśki formy męskiej, widocznie jego ząb się „pomylił”.

— Wykluczone, wszyscy jesteśmy na równych prawach — ucięła krótko i nic dopuściła więcej do dyskusji na ten temat.

Przystaliśmy na to bez słowa, bo ostatecznie prawo jest prawem. Nie należy odbierać go kobietom szczególnie, jeśli sobie tego nie życzą.

Posiedzieliśmy jeszcze chwilę, a gdy ogień przygasł weszliśmy do namiotu. Zielony usadowił się w przedsionku, zaś Baśka i ja wleźliśmy w śpiwory. Obiecałem sobie, że pomimo wart, na wszelki wypadek, do rana nie zmrużę oka, lecz po chwili spałem jak kamień. Nie pamiętam nawet kiedy usnąłem.

Obudziło mnie gwałtowne szarpanie, otworzyłem oczy. To tarosił mnie Zielony, który jeszcze trzymał wartę. Baśka też już nie spała. Przez płótno namiotu przebiegał pomarańczowy blask. Siedzieliśmy nieruchomo, nie wiem jak długo, wydawało się, że całą wieczność. W końcu pomarańczowa poświata zaczęła przygasać i zrobiło się zupełnie ciemno. Jeszcze chwilę posiedzieliśmy w tej ciemności, potem Baśka zapaliła latarkę.

— Co to było? — spytała szeptem.

— Wizyta kogoś od profesora.

— Mogą tu wrócić?

— Nie, to co mieli załatwić już załatwili. Dzisiaj mamy ich za głowę — popisał się oryginalną figurą stylistyczną Zielony.

Wziął od Baśki latarkę i wyszedł, wyjrzelśmy za nim. Przyświecając sobie rozglądał się uważnie, wreszcie coś podniósł z ziemi i wrócił do środka. Bez słowa pokazał

nam niewielkie, srebrzyste pudełeczko. Jego wieczko odskoczyło z cichym trzaskiem i zobaczyliśmy mały, złoty kolczyk z przezroczystym kamykiem. Poznałem identyfikator Zielonego.

— Dają mi szansę — powiedział robiąc jakieś dziwaczne miny.

Milczeliśmy.

— Dają mi szansę. Powinienem z niej skorzystać — powtórzył.

— Tak, oczywiście — prawie krzyknęła Baśka kładąc jednocześnie palec na ustach — Ale teraz śpijmy, rano postanowimy się co dalej.

Nic z tego nie zrozumiałem, lecz na wszelki wypadek powstrzymałem się od pytań. Jak pokazał następny dzień uczyniłem bardzo mądrze. Tymczasem moi przyjaciele zgodnie stwierdzili, że po tym, co zaszło, można zrezygnować z warty, ale minęło dużo czasu zanim znów zasnęliśmy.

Gdy się tylko rozjaśniło, wyszliśmy z namiotu. Pogoda zapowiadała się wspaniale. Ptaki śpiewały jak oszalałe, pachniało góorskimi ziołami, na trawie, drzewach i krzakach lśniły srebrzyście miliardy kropelek rosy. Powietrze było tak rześkie, że aż robiło się żal, że nie mamy po drugiej parze płuc. Biegaliśmy przez chwilę wokół ambony, aby się rozgrzać, potem przygotowaliśmy śniadanie. Kiedy jedliśmy siedząc sobie na materacach przed namiotem, nagle Zielony odezwał się:

— Dają mi szansę — bez dodatkowych wyjaśnień zrozumielśmy, iż myśli o powrocie na Wiridię.

— To tak chcesz wykorzystać tę szansę? — zdziwiła się Baśka,



— Nie mam wyboru. Nie mogę tutaj pozostać chociaż bardzo chciałbym. Przed profesorem Putem nie ma ucieczki, złamałem nasze prawo i będę musiał ponieść karę.

Baśka spurpurowiała.

— Wasze prawo jest bezprawiem, a cywilizacja... okrutna. To co z wami robią jest nieludzkie.

— Po prostu jest, jak jest.

— Wiesz Zielony, im dłużej myślę o tych przeszczepach, tym bardziej nabieram przekonania, że tkwi w tym jakiś cel, inny niż oficjalnie głoszony.

— Niemożliwe, Wiridianie poszli w kierunku rozwoju mózgu...

— ... A wymienione ciała służą do utrzymywania owych wspaniałych, genialnych mózgów w niewolniczym posłuszeństwie — weszła mu w słowo Baśka. — Sam powiedziałeś, że aby dostać młode ciało, należy być lojalnym wobec tych, którzy o tym decydują. Na niewygodnych indywidualistów nakłada się coś w rodzaju kajdan z niedołączonych członków. I wybieraj cwaniaku, albo się dostosujesz, albo...

— Niezupełnie, zmusza to nas do rywalizacji — w Zielonym odezwał się patriotyzm.

— Tak, tak, ale w tej rywalizacji istnieją ściśle określone reguły. Każda niesubordynacja dyskwalifikuje. Czy nie?

Zielony spuścił głowę i nie odzywał się. Patrzyłem na Baškę i łamałem sobie głowę co chciała osiągnąć tym niespodziewanym wybuchem sarkastycznych uwag. Bo, że coś chciała dałbym sobie uciąć rękę.

Przez dłuższą chwilę panowała nieprzyjemna cisza, Baśka nagle wstała.

— Chodźcie, przejdziemy się — zaproponowała. — Zielony, zostaw swój identyfikator, będziesz miał jeszcze czas, żeby go założyć.

Gdy odeszliśmy od namiotu spory kawałek, Baśka spytała Zielonego szeptem.

— Jak się nazywa to dodatkowe urządzenie zainstalowane w pudełku?

— Penetrator foniczny.

— Jaki ma zasięg?

— Nie wiem, ale chyba niezbyt duży, myślę, że tutaj możemy rozmawiać swobodnie.

— Naprawdę chcesz wrócić? — zaniepokoiłem się.

— Nie widzę innego wyjścia.

— Czy w każdej chwili możesz ich wezwać — tym razem Baśka wołała rozmawiać o konkretach.

— Tak.

— No to nie musisz się spieszyć. Wydaje mi się, że teraz i tak trudno pogorszyć sytuację, w jakiej się znalazłeś. Możemy spróbować pertraktować z profesorem Putem. Może coś wytargujemy? Co?

— Prawdopodobieństwo powodzenia jest znikome.

— Spróbujemy. Napiszemy list do profesora. W najgorszym przypadku zyskamy na czasie. To też coś warte.

— Dobrze, nic nie mamy do stracenia — zgodził się po namyśle Zielony.

Baśka wyjęła notes i długopis. Zastanawialiśmy się dość długo co napisać. Ostatecznie list brzmiał tak:

Szanowny Panie Profesorze!

Pragniemy Pana Profesora poinformować, że jest nam bardzo przykro, gdyż chce Pan zabrać naszego zielonego przyjaciela, który jest naszym najmiłszym gościem. Mamy teraz wakacje i z największą przyjemnością zrobimy wszystko, żeby nasz przyjaciel bawił się dobrze. Pana również zapraszamy. Jesteśmy przekonani, że jest Pan przemiłym staruszką i skorzysta Pan z naszego zaproszenia. Gorąco nalegamy. Przenosimy się na pole biwakowe pod Jaworzcem.

Basia i Wojtek

Profesora Puta bez żenady nazwaliśmy przemiłym staruszką, ponieważ Zielony zapewniał, że jego mózg ma więcej niż trzysta lat.

Pozostała jeszcze kwestia „wysłania” listu. Można go było zostawić gdzieś w ustronnym miejscu razem z identyfikatorem i oddalić się, jednak zachodziła obawa, że tym razem profesor może stracić cierpliwość. W końcu każdemu na jego miejscu trudno by było zachować spokój, gdy wyspecjalizowane roboty znoszą do bazy różne niepotrzebne rzeczy, a niezdyscyplinowany Wiridianin hasa sobie po Ziemi, jakby nigdy nic.

Tu gotowe rozwiązanie przedstawił sam Zielony. Pokazał nam urządzenie do wytwarzania pola siłowego, którym można się było otoczyć niczym murem nie do przebycia.

Jednym słowem Zielony nosił ze sobą niewidzialną, kieszonkową twierdzę. Mieliśmy więc czekać na postać profesora Puta, albo jego samego osobiście, tyle tylko, że z gwarancją nietykalności.

Poza tym postawiliśmy przy namiocie w ogóle nie rozmawiać na żadne tematy, które mogłyby interesować kosmitów i udawać, że się nie domyślamy, iż srebrzyste pudełko jest penetratorem fonicznym. Przez cały dzień mieliśmy odpoczywać, a dopiero nocą „wysłać” ów list i przejść na pole biwakowe.

Wieczorem rozpaliliśmy ognisko. Rozmowa nie kleiła się, więc Baśka zaproponowała, żeby pośpiewać. Muszę przyznać, że śpiewała bardzo ładnie, miała miły, melodyjny głos i знаła bardzo dużo piosenek. Jeżeli o mnie chodzi, to zawsze słyszałem, że słoń nadepnął mi na ucho. Coś w tym musi być, bo w szkole z powodzeniem psułem trzydziestoosobowy chór, zaś nauczyciele od śpiewu mówili... zresztą lepiej, żebyście tego nie wiedzieli.

Baśka kilakrotnie namawiała mnie, abym „otworzył usta”, lecz w końcu dała spokój. Zielony objął rękami kolana i patrzył na nią jak urzeczony, jego oczy nabrały dziwnego blasku...

Ciemność, która przysłoniła Bieszczady sprawiła, że nasze ognisko zrobiło się przytulne i nastrojowe, dawało poczucie bezpieczeństwa. Nigdy nie byłem sentymentalny, ale właśnie wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślałem o przemijaniu. Żał mi było, że ognisko się wypali, że zalejemy je wodą i odejdziemy w ciemność. By przerwać te melancholijne rozmyślenia zaproponowałem, aby Zielony też

coś zaśpiewał. Powiedział, że na jego planecie w ogóle się nie śpiewa. Dowiedzieliśmy się przy okazji, iż z wiridiańskich badań naukowych wynika, że w kosmosie śpiewają tylko Ziemianie.

Koło północy przystąpiliśmy do działania. Na płaskim, szerokim kamieniu położyliśmy list i pudełko z kolczykiem, a Zielony wysłał w przestrzeń sygnał, wzywający pomoc z bazy. Czekaliśmy ponad godzinę.

— Cofamy się — zakomenderował nagle Zielony.

Stanęliśmy na wskazanym przez niego miejscu, on zaś obszedł nas dookoła pstrykając wytwornikiem pola. Kiedy skończył stanął razem z nami.

— Uważajcie, zamykamy się, jak zejda na wysokość stu metrów. Przypominam, że kopuła siłowa jest niewielka i trzeba oszczędzać tlen.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w niebo. Jedna z gwiazd, jak to już raz widziałem, zaczęła świecić coraz jaśniej, pęczniała w oczach, rosła, aż przybrała kształt dwóch złożonych denkami na zewnątrz talerzy. Obiekt zniżał się coraz bardziej, ogromniał, a miejsce gdzie staliśmy zalało pomarańczowe światło. Rozległ się przeciągły syk i... powietrze zmętniało. To otoczyła nas zasłona siłowego pola. Ogromny pojazd zawisł nad wierzchołkami drzew.

Parę minut później, dosłownie, spłynęło na ziemię trzech mężczyzn w srebrzystych kombinezonach i równie srebrzystych twarzach. Później dowiedziałem się, że są to roboty średniej generacji, używane do zadań terenowych niezbyt skomplikowanych. Ruszyli w naszą stronę. Nie wiem czy ze strachu, czy tylko niedoboru tlenu zrobiło mi się bardzo

duszno. Baśce chyba też, sądząc po jej wyglądzie. Roboty zatrzymały się o kilka kroków od nas i stanęły nieruchomo. Przyszła mi do głowy okropna myśl, że zechcą tak stać aż do skutku, to znaczy do czasu, aż się odsłonimy. Nie wiedzieliśmy przecież co im polecił profesor. Zielony jakby odgadł i chciał potwierdzić moje obawy, bo powiedział:

— Jeszcze trochę i będę musiał wyłączyć pole, gdyż w przeciwnym razie podusimy się.

Rzeczywiście oddychać było coraz trudniej i pociliśmy się jak myszy. Na szczęście roboty stały jeszcze tylko chwilę, lecz „widząc”, że nie mają do nas dostępu odeszły, zabierając ze sobą pudełko z kolczykiem oraz list, a po kilku minutach latający talerz rozpląnął się wśród rozgwieżdżonego nieba. My zaś z ulgą wciągaliśmy w płuca cudowne, górskie powietrze.

BIWAK POD JAWORZCEM

Zanim zaczęło świtać, rozbiliśmy namiot na polu biwakowym pod Jaworzcem. Wybraliśmy miejsce na skraju pola, jak najdalej od baczówki i uczęszczanych ścieżek. Dodatkową osłonę stanowiły gęste olszynowe zarośla, rosnące tuż za płotem. W tychże zaroślach czekał Zielony w czasie rozbijania namiotu. Staraliśmy się zachować ostrożność, chociaż wszystko wokół tonęło w głębokim śnie. Po forsownym, nocnym marszu byliśmy tak bardzo zmęczeni, że postanowiliśmy iść spać nie wystawiając warty. Wydawało nam się mało prawdopodobne, żeby w biały dzień, w środku takiego mrowia ludzi, pojawili się kosmici.

Wstaliśmy koło południa i od razu spotkała nas niespodzianka. Poszedłem z Baśką do baczówki po wrzątek i pierwszą napotkaną osobą okazał się wujek Tosiek, który zupełnie przypadkowo wstąpił tam na herbatę do zaprzyjaźnionego kierownika. Był mocno zaskoczony faktem, iż spotkał nas pod Jaworzcem, podczas gdy mieliśmy być na obozie w Dołżycy. Baśka udobruchała go jakoś, wymyślając na poczekaniu w miarę prawdopodobną historyjkę.

— Co jesteś zadowolony? — zwrócił się do mnie.

— Pewnie, jest kławo.

— Przyjedziesz tutaj jeszcze?

— Jasne, że przyjedzie — odpowiedziała za mnie Baśka. — Przecież wujek wie, że w Bieszczady przyjeżdża się raz, potem się tylko wraca.

Wujek pobyl z nami niecałą godzinę. Opowiedział nam co ostatnio wydarzyło się w leśniczówce: że ciocia nadal boi się wejść do spiżarki, że przyszła kartka od moich rodziców, i że nareszcie znalazł się ul. Ostatnia wiadomość bardzo nas poruszyła.

— Jak to się znalazł? — zawołałem zdziwiony.

— Normalnie. Stał sobie jakby nigdy nic, tylko nieco dalej.

— Słupki też były?

— A były. Wyglądały tak jakby je ktoś z dużą siłą wcisnął w ziemię, bo nie zauważyłem śladów kopania.

— Dziwne — szepnąłem.

— O, dziwne — podchwycił wujek. — Ule przenoszą się z miejsca na miejsce, po spiżarni buszują zielone diabły, a po niebie latają talerze.

— Jakie talerze? — spytaliśmy jednocześnie.

— Taki jeden drwał widział w nocy.

Zamarłem.

— To ciekawe — zainteresowała się Baśka.

— Byłoby jeszcze ciekawsze, gdyby nie był pijany. Co za czasy. Kiedyś porządny pijak widywał białe myszki, a teraz mającą mu się jakieś fruujące naczynia.

— Wujek nie wierzy? — spytałem.

— Bzdura. Siedzi teraz w „Myśliwskiej” w Baligrodzie i opowiada niestworzone historie każdemu, kto stawia.

— A ludzie mu wierzą?

— Różnie z tym bywa. Miejscowi przeważnie pukają się w czoło, a przyjezdni wypytują o szczegóły. Jeden taki to nawet zapłacił aby pokazać, w którym miejscu pojawił się ten obiekt i narysował jak wyglądał.

— I narysował?

— Narysował, ale nikt nie może sprawdzić czy tego sobie na poczekaniu nie wymyślił.

— Wujek widział ten rysunek?

— Nie widziałem, lecz jedni mówili, że przypomina kapelusz, drudzy, że makutrę. Miejscowy nauczyciel twierdzi, iż to balon meteorologiczny.

— A co by wujek zrobił, gdyby u wujka na podwórzu wylądował taki talerz? — spytałem żartobliwie.

— Co bym zrobił? To zależy z czym by wylądował — zaśmiał się i wstał. — Zajrzę tu do was pojutrze. Jakbyście się gdzieś przenosili, zostawcie wiadomość u kierownika. I uważajcie na siebie.

Pozegnał się i odszedł.

— Ale numer — Baśka dwoma słowami podsumowała rozmowę z wujkiem.

— Od dzisiaj będę wierzył we wszystkie informacje o UFO.

— Nie przesadzaj — Baśka wyraziła swój sceptycyzm.

— Przecież przed chwilą otrzymaliśmy niezbity dowód, że w każdej plotce tkwi ziarno prawdy.

— Tylko ziarno. Reszta to plewy.

Zrobiliśmy nie więcej niż pięć kroków, gdy Baśka cofnęła się gwałtownie za węgiel domu.

— Co się stało? — przestraszyłem się.

— Ale bym wpadła! Są tu aż cztery moje koleżanki z klasy. To te na leżakach koło niebieskiego namiotu. Widzisz je?

— Widzę.

— Za żadne skarby nie powinny mnie zobaczyć, bo się później nie pozbędziemy ich towarzystwa. Idź sam, ja wrócę okrężną drogą.

Szedłem wolno starając się za bardzo nie rozchlapywać wody. Pole namiotowe robiło wrażenie ospałego miasteczka. Prawie wszyscy turyści, którzy nie poszli w góry, wylegiwali się na słońcu, jedynie niezmordowane dzieciaki uwijały się na wydzielonym dla nich placu zabaw.

Do celu dotarliśmy z Bašką jednocześnie tylko, rzecz jasna, każde z innej strony. Tu czekała na nas następna niespodzianka. Obok naszego namiotu stał drugi namiot, wzorowo naciągnięty i zamknięty podobnie jak nasz, tylko że... pomarańczowy.

Ledwo wsunęliśmy głowy za zasłonę tropiku, Zielony dał nam znak abyśmy zachowywali się cicho i na migi pokazał, że obok rozbili się kosmici. Baśka skinęła na mnie i wyszła na zewnątrz. Poszliśmy w gęstwinę za ogrodzeniem, aby się naradzić.

— Wszystko się okropnie skomplikowało — rzekła gdy oddaliliśmy się od pola namiotowego odpowiednio daleko. — Z jednej strony przynajmniej cztery znajome, z drugiej ludzie profesora Puta, a może nawet i on sam. Bez zdekonspirowania Zielonego nie mamy szans, w pełni dnia, zwinąć namiot i przenieść się gdzieś indziej.

— Musimy znaleźć z tego, jakieś wyjście — stwierdziłem oczywistość.

— No jasne, lecz jak zrobimy fałszywy ruch, to może wyjść z tego taka heca, że trudno będzie przewidzieć finał.

— Więc co proponujesz?

— W zasadzie wyjście mamy tylko jedno. Ja z Zielonym zamknę się w namiocie i doczekamy jakoś do wieczora. Potem się zobaczy.

— A ja?

— Ty będziesz przez cały czas obserwował co się dzieje. Możesz przy okazji upichcić coś do jedzenia.

Skrzywiłem się. Nigdy nie lubiłem garów, a gotowanie to dla mnie czarna magia. Na samą myśl o szorowaniu mezażek dostawałem gęsiej skóry.

— Nie grymasz i tak będziesz w lepszej sytuacji niż my.

Wróciliśmy, Baśka ostrożnie wślizgnęła się do namiotu, a ja zabrałem się za gotowanie zupy. To nie było trudne,

wystarczyło do gotującej się wody wsypać proszek z torebki i pomieszać. Schody zaczęły się przy drugim daniu. Miał być gulasz z ryżem. Zrobiłem zaledwie tylko dwa błędy, a efekt końcowy w niczym nie przypominał zamierzeń. Otóż zamiast najpierw ugotować w wodzie ryż, a potem podać go z odgrzany gulaszem, od razu wsypałem ryż do gulaszu i trzymałem na ogniu dziesięć minut tak jak zalecał przepis na opakowaniu. Może nie byłoby jeszcze całkiem tak źle, gdyby ryż był ryżem a nie grysiem. Skąd mogłem wiedzieć, że Baśka grysik przesypała, z pękniętej torebki, właśnie do pudełka po ryżu, a ja pechowo uwierzyłem w pisane.

Moje dzieło kulinarne prawie w połowie zostało skonsumowane, zatem bez kozery mogłem sobie przypisać pięćdziesiąt procent sukcesu. Nie wypadłem więc aż tak źle.

Po południu przyznałem, że i tak jestem w lepszej sytuacji niż Baśka i Zielony, którzy dusili się w namiocie, gdyż prażyło niemiłosiernie. Rozebrany do spodenek kręciłem się jak mucha w mazi, próbując podpatrzeć, co się dzieje u kosmitów. Ale z mojego punktu widzenia w pomarańczowym namiocie, podobnie jak w naszym, panował idealny spokój. Korciło mnie, żeby przynajmniej przez szparkę zaglądnąć do środka. Myślałem, jaki by do tego wyszukać pretekst, na wypadek gdyby ktoś zapytał czego szukam tam, gdzie mnie nikt nie zapraszał.

Nie myślcie, że jestem tchórzliwy. Normalnie zajrzałbym wszędzie, nawet do wilczej nory, lecz w tym przypadku sytuacja była wyjątkowa. Nie mogłem ryzykować

bezpieczeństwa Zielonego. Dobrze pamiętałem przestrożę Baśki, iż nie możemy sobie pozwolić nawet na najmniejszą fuszerkę. Najlepszym wyjściem było zatem czekanie. Czekałem więc, a czas się ciągnął jak guma do żucia. Mocno wyeksploatowana zresztą.

Nadszedł wreszcie upragniony wieczór. Baśka wpadła na pomysł, żeby Zielony na swój obcisły kombinezon włożył moje spodnie i koszulę. W mroku jego zielona twarz nie rzucała się w oczy, toteż zdecydowaliśmy się otworzyć namiot. Mogli nareszcie odetchnąć świeżym powietrzem. Na wypadek gdyby ktoś zbyt blisko zapędził się w naszą stronę, Zielony miał czas przykryć się śpiworem.

Tymczasem ruch na polu biwakowym osłabł, a większość turystów skupiła się przy ogniskach. Zewsząd dochodziły śmiechy i śpiewy. Nikt nie zwracał na nas uwagi. Baśka i ja siedzieliśmy przed namiotem, Zielony przysunął się do samego wyjścia i z ogromnym zainteresowaniem rozglądał dokoła.

— Co to za dźwięk? — spytał w pewnej chwili.

— Który? — ze wszystkich stron dolatywały głosy różnego pochodzenia.

— Ten taki: brzdęk... brzdęk... brzdęk... — odtworzył śpiewnie jego brzemienie.

— Gitara. Ziemski instrument strunowy.

— Bardzo piękny — zasłuchał się.

My również poddaliśmy się atmosferze urokliwego, bieszczadzkiego wieczoru i zapomnieliśmy o czujności. Miałem właśnie zapytać co robimy na kolację, gdy z pomarańczowego namiotu dobiegł jakiś szmer. Po chwili wyszedł

z niego młody, najwyżej dwudziestoletni mężczyzna, i przybliżył się do nas. Oddalone ogniska, lampy i księżyc rzucały tak nagle światło, że nie można było dokładnie przyjrzeć się rysom jego twarzy. Zamarliśmy w oczekiwaniu.

SPOTKANIE Z PROFESOREM

— Dobry wieczór. Można? — zagadnął nieznajomy i nie czekając na odpowiedź usiadł na brzegu materaca.

Milczeliśmy zupełnie zaskoczeni.

— Jestem profesor Put — przedstawił się. — Przyszedłem ponieważ mnie zaprosiliście.

Teraz замуrowao nas już kompletnie. „Ładny staruszek!” pomyślałem. Pierwsza ochłonęła Baśka. Wstała i uczyniła ręką szeroki gest zaproszenia.

— Prosimy bardzo. Czym chata bogata. Wojtku zrób gościowi herbaty — powiedziała i usiadła bliżej profesora.

Zapaliłem kuchenkę gazową. Gdy niebieski płomień rozświetlił nieco mrok przyjrzałem się przybyszowi. A więc tak wyglądał! Niczym nie różnił się od tysięcy ziemskich turystów: jasne włosy, opalona twarz, koszula w kratkę i sztruksowe spodnie. Ubranie i buty lekko przyniszczone.

Nastawiłem wodę.

— No i co? — profesor zwrócił się do Zielonego, który siedział skulony z opuszczoną na piersi głową. — Mam nadzieję, że się rozumiemy bez słów.

— Bardzo polubiliśmy pana przyjaciela — wtrąciła Baśka — i myślę, że nie obrazi się pan jeśli powiem, że zrozumienie to jedna sprawa, a rozbieżność interesów, druga. Nie wolno wymagać zrozumienia od kogoś, kogo chce się skrzywdzić.

— Krzywda to pojęcie względne — gość uśmiechnął się ironicznie patrząc na Zielonego. — Każdy, kto czuje się pokrzywdzony, powinien przede wszystkim rozważyć, czy owa krzywda nie jest jego własną „zasługą”.

— Panie profesorze, a ile pan ma lat? — wtrąciłem się do rozmowy, gdyż ciągle szokował mnie jego wygląd.

— Czy to ważne?

— Ważne, bo wygląda pan najwyżej na dwadzieścia.

— Dla was jestem sędziwym starcem. Mam dokładnie trzysta dwadzieścia cztery lata. Nasz rok jest o siedemnaście dni i dwadzieścia minut dłuższy od ziemskiego.

— Widzi pan, czy jako zielony czy biały obnosi się pan w młodym ciele i ma pretensje, że inni nie chcą być starzy.

— Taka jest kolej rzeczy. Wy, Ziemianie też się starzejecie i czy z tego powodu ktoś się buntuje przeciwko władzy?

— Ale nikt nikomu nie zabiera jego ciała!

— Młody człowieku przecież wasza ziemską historią zna analogiczne przypadki. Kiedyś świat był wspólną własnością. Każdy miał prawo mieszkać i żyć gdzie chciał. Później powstały państwa, które podporządkowały sobie pewną powierzchnię i nikt teraz tego nie kwestionuje, prawda?

— To co innego — zaprotestowałem. — Jednak w każdym państwie ludzie noszą swoje ciała, nie cudze.

— U nas jest inaczej. Ziemia, to znaczy wiridiański świat jest wspólny, a ciała podporządkowane są władzy. Nie zmienimy naszego prawa tylko po to, żeby było zgodne z waszymi zasadami, tak jak Ziemianie nie będą się kierować naszymi. Mam rację?

— Wojtku, woda kipi. Zrób wszystkim coś do picia — Baśka wybawiła mnie z kłopotu, bo nie wiedziałem co odpowiedzieć.

Zaparzyłem herbatę bezpośrednio w menażce, osłodziłem, rozlałem do kubków, podałem profesorowi, Baśce i Zielonemu. Na butlę założyłem gazową lampę, dalsza konspiracja nie miała już sensu. Zrobiło się jasno, jak przy ognisku.

— Wiesz co masz robić — profesor znów zwrócił się do Zielonego.

— Jest pan pewien, że ot tak, pozwolimy sobie zabrać naszego przyjaciela? — spytała Baśka z przekornym uśmiechem.



— Oczywiście — odpowiedział poważnie profesor.
Baśka niespodziewanie zmieniła ton.

— Panie profesorze, patrzy pan srogim wzrokiem na Zielonego z przekonaniem, że ma pan przed sobą winowajcę. Na razie posunął się pan do prawienia morałów, lecz gdy wrócicie na Wiridię, na pewno zadba pan o to, żeby został przykładnie ukarany.

— Taka jest kolej rzeczy — uśmiechnął się profesor.

— Może i tak, ale czy nie przyszło panu do głowy, że gdyby na całą tę sprawę spojrzeć z innej strony, można by dojść do zgoła dziwnych wniosków.

— Na przykład?

— Że cała ta wasza wysoka cywilizacja to zwykły blef.

— Tak? — profesor był w najwyższym stopniu zdziwiony.

— A tak! Czy nie wydaje się panu dziwne, iż niespełna piętnastoletni chłopiec przechytrzył cały ten wasz niby doskonały system zabezpieczeń? On sam wystrychnął na dudka szacowne grono waszych przeszłych i teraźniejszych uczonych i konstruktorów, którzy ów system stworzyli. Twory najtęższych umysłów okazały się fraszką dla jednego zbuntowanego małolata. Czy to nie śmieszne? Czy taka pozaziemska „potęga” może budzić strach?

— Spływasz temat.

— Nie, to zaledwie syntetyczne ujęcie.

— W takim razie wyciągasz zbyt pochopne wnioski.

— Jesteśmy gotowi przyznać panu rację, ale wtedy logiczny jest drugi wniosek.

— Jaki? — zdziwienie profesora sięgnęło zenitu.

— Zielony jest wyjątkowo inteligentny.

Profesor parsknął śmiechem.

— To gruba przeasda, nie przekracza przeciętnej.

— Z przykrością stwierdzam, że brak jest logiki w pana rozumowaniu, a to oznacza również... — Baśka zawiesiła głos.

— Słabość czy sklerozę? — zachnął się profesor.

— Przeciętność! Mniej niż średnią.

To замуrowało profesora. Przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Wydawało mi się, że Baśka tą dyskusją, tak skomplikowała sytuację, że wszelkie pertraktacje z kosmitami będą niemożliwe. Tymczasem okazało się, że był to dopiero wstęp do dalszej rozgrywki.

— Być może się mylę — powiedziała niespodziewanie.

— Oczywiście — przytaknął skwapliwie profesor.

— Nie wierzę słowom wołałabym, aby mnie pan o tym przekonał.

— Jak?

— Praktycznie.

— Nie widzę sposobu.

W oczach Baśki błysnęły figlarne ogniki.

— Czy pan wie, że na Ziemi jest taka gra w zielone?

— Nie wiem i nie zamierzam w nią grać — profesora chyba zirytowała nagła zmiana tematu.

— To prosta gra dla dzieci.

— Tym bardziej nie zamierzam.

— Proponuję zmodyfikować tę grę i zagrać o Zielonego.

— Jak? — profesor był wyraźnie zaskoczony.

— Załóżmy się. Jeżeli w ciągu trzech dni nie uda wam się go porwać, to my stawiamy warunki. I odwrotnie. Będziemy mogli praktycznie stwierdzić kto jest lepszy.

— To nie ma sensu, przegracie od razu.

— Więc niczym pan nie ryzykuje — kusiła Baśka.

Profesor powoli przyjrzał się każdemu z nas tak, jakbyśmy byli wariatami. „Pewnie teraz tak nas urządzi, że na wieki wieków będziemy mieli dość” — pomyślałem. Tymczasem, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu profesor najspokojniej w świecie powiedział:

— Zgadzam się, ale stawiam jeden warunek. Nie wolno w całą sprawę nikogo więcej wtajemniczać.

— Cudownie, zakład stoi. Od kiedy zaczynamy liczyć czas? Proponuję od szóstej rano — powiedziała Baśka.

— W porządku — zgodził się profesor.

— Ale do szóstej rano nie będziecie nas śledzić. Macie przecież techniczną przewagę. Dobrze? — Baśka twardo negocjonowała warunki zakładu.

— Dobrze — odrzekł krótko. — Załatwione.

— Ale jak będzie z tymi warunkami? Czy w przypadku wygranej każdy z nas będzie mógł postawić po jednym, czy też jeden warunek będzie przysługiwał całej trójce? Lepiej to teraz ustalić, żeby później nie było nieporozumień — uznałem, że należy ubezpieczyć się na wszelką ewentualność.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się profesor — Oczywiście, że każdy z Was może postawić swój jeden warunek, ale najpierw trzeba wygrać.

— W takim razie, żeby było sprawiedliwie, pan, w razie wygranej będzie mógł postawić również trzy warunki.

— Wystarczą dwa. Z góry wam powiem jakie, abyście nie mieli złudzeń. Po pierwsze, zabiorę uciekiniera, po drugie, całą tę historię wymażę z waszej pamięci. Taką mamy zasadę. Nie chcemy aby nikt, kto się z nami zetknął opowiadał o nas innym.

Baśka sięgnęła po kubek i pociągnęła długi łyk. Zobaczyłem, jak jej oczy robią się okrągłe. Zakrztusiła się tak gwałtownie, że upuściła naczynie i cała herbata rozprysła się dokoła. Między innymi na ubranie profesora. Baśka błyskawicznie wyjęła chusteczkę i zaczęła go wycierać.

— Przepraszam — mówiła pokasłując. — Nie wiedziałam, że to szafwia.

— Nic się nie stało, proszę się tym nie przejmować — powiedział profesor i wstał. — Zostawiam was, musicie przecież ustalić jakiś plan działania. Nie życzę Wam powodzenia, bo nie życzy się rzeczy niemożliwych. Dobranoc.

— Dobranoc.

Profesor oddalił się. Z pomarańczowego namiotu wyszło dwóch chłopców, sprawnie zwinęli namiot, zarzucili plecaki i cała trójka przeszła przez pole namiotowe rozplywając się w ciemnościach. Przez cały ten czas milczeliśmy.

— Ale heca — powiedziałem, byle coś powiedzieć.

— Zielony, co to jest?

Baśka wyciągnęła dłoń i oświetliła ją latarką. Na jej dłoni leżał guzik od koszuli profesora Puta.

— Dobrze pomyślałeś z tą szafwiovą herbatą — pochwaliła mnie — Ja też od razu zauważyłam, że te guziki to lipa. Po pierwsze, za duże do takiej koszuli, po drugie, dziurki są zwykłą imitacją.

Nie przyznałem się, że to przypadek sprawił, iż podałem Baśce herbatę z szafwi. Nie byłem taki spostrzegawczy jak ona. Guzik rzeczywiście wyglądał dziwnie, od spodniej strony miał przymocowaną szpilkę, jak tanie odznaki, a na obrzeżu wygrawerowane jakieś tajemnicze linie.

Zielony obejrzał zdobycz Baśki i stwierdził, że jest to pilot. Nie potrafił powiedzieć dokładnie od czego, gdyż ze zrozumiałych względów miał on udawać zapieczętowanie ziemskiej, flanelowej koszuli, a nie to, czym naprawdę jest. Przypuszczał, że od jakiegoś prostego urządzenia lub robota.

— Teraz zastanówmy się czym dysponujemy — powiedziała rzeczowo Baśka — Wojtek i ja mamy dobre pomysły i chęci, a ty?

— Niewiele tego w porównaniu z profesorem Putem. Mam tylko to w co wyposażony jest standardowy kombi-nezon, a więc: antygravitator, nadajnik laserowy, rozpy-lacz usypiający, wytwornik pola siłowego i jeszcze inne drob-ne urządzenia, które pomagają zaklimatyzować się na in-nej planecie. Ale to nam się nie przyda.

— Mamy też guzik — przypomniałem.

— Tak, ale musicie wiedzieć, — tłumaczył dalej Zielony, — że w rozkazywaniu istnieje hierachia. Jeżeli baza użyje sygnału o nadrzędnej wartości, wtedy urządzenia przestaną nas słuchać.

— Fatalnie — mruknęła Baśka. — W jaki sposób działa usypiacz?

— Może uśpić na trzy minuty każdą żywą istotę. Roboty są na usypiacza odporne.

— Szkoda.

— Co szkoda? — nie rozumiałem o co jej chodzi.

— Szkoda, że nie można uśpić robotów — odpowiedziała od niechcenia.

Rozłożyła na kolanach mapę Bieszczadów i przyświecając sobie latarką zaczęła ją w skupieniu studiować.

— Co zamierzasz?

Tym pytaniem przyznałem, że zdaję się na jej pomysły, bo mnie nic ciekawego nie przychodziło do głowy, Zielonemu również.

— Zbieramy się, przed szóstą rano musimy być w Solinie. Ukryjemy się w zaporze.

Tym razem pomyślałem, że Baśka postradała rozum.

— To szleństwo — zawołałem — Po pierwsze, stąd do Soliny w linii prostej jest dobre dwadzieścia kilometrów. I to górami! Po drugie, zaporę wchodzi w skład jakiegoś zakładu energetycznego i nie wyobrażam sobie, by mogło się po niej bezkarnie kręcić dwoje małych i zielony kosmita.

— Tak się składa, że nie mamy innego wyjścia, więc przestań krakać o niemożliwościach, tylko rusz głową.

— To niewykonalne!

— Musimy tam dotrzeć przed szóstą, choćby nie wiem co. Inaczej już pięć po szóstej będziemy przyjmować warunki profesora.

— Możemy się ukryć gdzieś indziej — upierałem się przy swoim.

— Bzdura, zaporą jest do tego najlepsza. Ma osiemdziesiąt dwa metry wysokości i sześćset sześćdziesiąt długości. Składa się z pięciu galerii, ostatnia jest pod dnem. W niej się ukryjemy. Ogromna masa betonu będzie najlepszym zabezpieczeniem. Poza tym profesorowi nigdy nie przyjdzie do głowy, że w ciągu jednej nocy pokonaliśmy taką odległość i będzie nas szukał gdzieś tutaj. To da nam przewagę.

Rozumowanie Baški było słuszne, ale słuszne wcale nie znaczy możliwe do zrealizowania. W każdym bądź razie ja w to wątpię.

— Może uda nam się zrobić użytek ze zdobycznego guzika? Co o tym sądzisz? — zwróciła się do Zielonego.

— Jeżeli w bazie nikt nie zauważył jego braku, to nie widzę problemu.

— A więc ruszajmy w drogę. Będziemy potrzebowali bardzo dużo sił. Albo szczęścia.

Pole namiotowe pogrążało się we śnie. Jeszcze tu i ówdzie dopalały się ogniska i słychać było przyciszone rozmowy. Spakowaliśmy plecaki, zwinęliśmy namiot, i przeskakując przez ogrodzenie, ruszyliśmy w ciemność.

KOSMICZNE CYGARO

Podążyliśmy w milczeniu za Bašką, która oświetlała sobie drogę latarką. Prawie przez dobrą godzinę wspinaliśmy się na najbliższy szczyt. Zrobiliśmy tam krótką przerwę i po następnej godzinie schodzenia zatrzymaliśmy się na następnej polanie porośniętej jałowcem.

— No co? Próbujemy? — zwróciła się do nas Baśka. — Mam nadzieję, że profesor zachowa się po dżentelmeńsku i do szóstej rano nie będzie nas podglądał.

— Niczego nie możemy być pewni — wyraziłem swoje zdanie.

— Ciekawa jestem co on teraz może robić. Jak myślisz Zielony?

— Nie wiem, nie znam rozkładu pracy jego bazy. Może spać, a może też penetrować okolice Jowisza.

— Albo Jaworzca — dorzuciłem.

— To też możliwe.

— Ryzykujemy? — Baśka czekała na naszą aprobatę.

— Tak — powiedział Zielony.

— Tak — powtórzyłem jak echo.

— No to start.

Zielony wyciągnął szpilkę „guzika” w przeciwną stronę, biorąc pod uwagę jej pierwotne położenie. Czekaliśmy. Upływały minuty długie jak wieczność.

— Może już za późno — zacząłem się niepokoić. — Może profesor spostrzegł brak guzika i przeprogramował co trzeba?

— Nie kracz — zdenerwowała się Baśka.

— Nie jest za późno — powiedział Zielony, jednak nadal nic się nie działo. — O już! — prawie krzyknął.

Zza góry wyleciał obiekt podobny do olbrzymiego cygara. Był o wiele mniejszy od latającego talerza i nie świecił.

— Mamy dużo szczęścia. To rodzaj kosmicznej taksówki. Możemy jechać choćby na biegun.

— Nie mam nic przeciwko temu, chociaż osobiście wolałbym Bermudy — byłem zachwycony taką perspektywą, jednakże jak miecz Demoklesa wisały nad nami warunki zakładu.

Zielony manipulował coś przy „guziku” i „cygaro” zatrzymało się nad naszymi głowami. Na jego spodzie

wykwitła biała świecąca plama, druga, bliźniaczo podobna utworzyła się na ziemi.

Wsiedliśmy do pojazdu według instrukcji Zielonego. W tym celu należało stanąć na świetlistej plamie, unieść ręce do góry i... leciało się głową w dół. Oczywiście było to tylko złudzenie wywołane odwrotną grawitacją. Po zatrzymaniu się, należało uchwycić metalową barierkę i przesunąć w bok, żeby zrobić miejsce następnym wsiadającym.

Aż się trząsałem z chęci obejrzenia prawdziwego kosmicznego pojazdu od środka, spodziewając się ujrzeć tam nie wiadomo jakie cuda techniki. Kiedy jednak w nim się znalazłem doznałem rozczarowania. Ziemska taksówka wydawała się być urządzeniem wyższej generacji. Wnętrze „cygara” posiadało zaledwie jedną kabinę z pięcioma jajoratnymi fotelami. Z przodu, a właściwie z jednej strony, gdyż nie wiadomo gdzie wehikuł o takim kształcie ma przód, znajdowały się dwa monitory, jeden ustawiony poziomo, drugi pionowo, oraz rząd świetlnych przycisków. Tyle.

Zdjęliśmy plecaki i zajęliśmy miejsca.

— Naprawdę potrafisz to prowadzić? — spytałem Zielonego, bo chociaż pojazd rozczarował mnie, to miałem świadomość, że jest to super skomplikowane urządzenie, a do tego znajdujemy się kilka, metrów ponad wierzchołkami drzew rosnących na szczycie góry.

— Poradzę sobie — odparł.

— Czy masz coś takiego, jak prawo jazdy?

— Nie mam, ale widziałem jak to się robi — uspokoił mnie, po czym zwrócił się do Baśki. — Daj mapę i dokładnie pokaż gdzie jesteśmy, i gdzie powinniśmy się znaleźć.

Baśka rozłożyła przed nim sfatygowaną moskałówkę.

— Jesteśmy tutaj, na tej górze, pomiędzy Krysową a Wysokim Berdem, a powinniśmy dolecieć tutaj, do Soliny — jej palec przesunął się pionowo w górę mapy.

Zielony wyjął z pulpitu dwa guziki przypominające pinetki z błyszczącymi łebkami i wbił je w mapę w oznaczonych miejscach. Mapę położył na poziomym ekranie i zaczął coś manipulować przy przyciskach. Nagle pionowy ekran zamigotał i ukazały się na nim niezrozumiałe dla nas znaki.

— Co to? — zaniepokoiła się Baśka.

— Baza się zgłasza. Przez pomyłkę wywołałem bazę.

— Kekszykszelo — usłyszeliśmy.

— Co to znaczy? — spytaliśmy równocześnie.

— Proszą o wyjaśnienia. — powiedział Zielony i zamilkł, jakby nie wiedział co dalej robić. I chyba nie wiedział.

— Poproś z profesorem Putem — krzyknęła Baśka. — Chcę rozmawiać z profesorem.

Pomyślałem, że teraz to już naprawdę zwariowała, chciałem ją uciszyć, ale Zielony zaczął już coś mówić w swoim „rodzinnym” języku. Z niezrozumiałych dla mnie powodów uznał jej pomysł za całkiem rozsądny.

— Jest profesor Put.

— Halo, profesor Put? — Baśka niemalże krzyczała do ekranu, jakby rozmawiała przez staroświecką międzymiastową na korbę. Trochę mniej to rozbawiło, mimo drastycznej sytuacji.

— Słucham was — rozległ się głos z monitora, ale obraz w dalszym ciągu się nie zmienił.

— Chciałam pana przeprosić za urwany guzik. Przy następnym spotkaniu zwrócę go panu. Przepraszam.

— Na następne spotkanie nie będę musiał długo czekać.

— O nie, trzy dni to niewiele. Przepraszamy też, że bez pozwolenia przelecimy się pańską „taksówką”.

— Do szóstej rano, zgodnie z obietnicą, nie będę zwracał na to uwagi. Chociaż nie twierdzę, że mi się to podoba. A ty mój przyjacielu nie myl się więcej.

Ostatnie zdanie było oczywiście skierowane do Zielonego. Profesor powiedział jeszcze kilka wiridiańskich słów i pożegnał się. Zielony znów pomanipulował przy pulpicie i na ekranie w miejsce tajemniczych znaków pojawił się krajobraz Bieszczadów. W centrum znajdowała się polana, z której wystartowaliśmy.

Nabraliśmy wysokości i bezszelestnie poleciliśmy w kierunku niewidocznej Soliny. Pomimo ciemności doskonale widzieliśmy przesuwający się krajobraz: łysiny połonin, wąwozy, którymi płynęły górskie potoki, ścieżki, drogi i dróżki. Gdzieś tam, niczym robaczki świętojańskie, błyskały światełka niedogaśniętych ognisk. Rzadko rozrzucone wioski wyglądały jak osiedla krasnoludków.

— Dlaczego profesor nie jest zielony tak jak ty? — spytałem, bo do tej pory jakoś nie miałem możliwości zadać tego pytania.

— No właśnie? — Baškę również to zainteresowało.

— Jest zielony, tylko przybrał taką postać — wyjaśnił Zielony.

— Ot tak sobie?

— Nie wiem.

— Czy u was każdy może sobie zmienić kolor skóry?

— Nie, a zresztą po co? Wszyscy Wiridianie mają zieloną karnację i nikomu to nie przeszkadza.

— Przecież widzieliśmy, że profesor Put był biały.

— Tylko pozornie. Nasączyć skórę odpowiednim pigmentem nie jest wcale trudno.

— Gdybyś przed ucieczką z Wiridii o tym pomyślał, dzisiaj byłbyś w dużo lepszej sytuacji — wytknąłem mu żartobliwie.

— Drugim razem pomyślę — odpowiedział mi tym samym tonem.

— Odniosłam wrażenie, że profesor dość swobodnie czuje się w ziemskich warunkach — nieco zmieniła temat Baśka.

— Profesor czuje się swobodnie we wszystkich warunkach. Nie może być inaczej.

— Dlaczego?

— U nas pozycja społeczna zależy nie tylko od ilorazu inteligencji, ale i innych predyspozycji.

— Na przykład jakich?

— Umiejętności szybkiej oceny sytuacji, kojarzenia faktów, minimalnego marginesu błędu przy podejmowaniu decyzji...

— Czy ktoś to sprawdza i ocenia?

— Oczywiście. Każdy, co parę lat, przechodzi testy sprawdzające przed komputerem centralnym.

— Śmieszne, oczami wyobraźni widzę już ogólnoswiatową klasówkę. Czy korzystacie z bryków?

— Z czego?

— Ze ściąg?

— Co to są ściagi?

— Krótko mówiąc ściaga jest wiedzą, którą zamiast w głowie nosi się na gumce w rękawie, albo w mankiecie, albo w skarpetce... Zależy od pomysłowości.

— Naszym ośrodkiem rozumowania i gromadzenia wiedzy jest tylko mózg i nic takiego nie wchodzi w rachubę.

— Kiedyś ci pokażę, że jest to możliwe.

Tymczasem u góry ekranu pojawiła się ciemnograna-towa plama przypominający wyszczerbiony sierp, był to Zalew Soliński. Wyżej błyszczały paciorki światła zapory. „Cygaro” obniżyło lot.

— Wskaż dokładnie gdzie lądujemy — zwrócił się Zielony do Baśki kończąc tym samym mój wykład o uczniowskich sposobach ułatwiania sobie życia.

— Bliżej zapory, na wzgórzu z lewej strony.

Zielony naprowadził pojazd nad wskazane miejsce i obniżył prawie na wysokość koron drzew. Założyliśmy plecaki i ruszyliśmy w kierunku wjazdu. Podróż na ziemię

okazała się mniej szokująca, przypominała jazdę niewidzialną windą.

Gdy tylko stanęliśmy na twardym gruncie, pojazd wzbił się w górę i zniknął w ciemnościach. Spojrzałem na zegarek, dochodziła za piętnaście druga. Podróż trwała niecały kwadrans.

Przyświecając sobie latarką, bezdrożami, schodziliśmy cały czas w dół, aż natrafiliśmy na leśną ścieżkę, która doprowadziła nas do szosy.

Minęliśmy kilka domów wczasowych, jakieś pawilony, sporej wielkości parking i dotarliśmy wreszcie do ogrodzenia, za którym znajdowały się budynki elektrowni. Dalej wznosiła się potężna zaporą.

Byłem przekonany, że w tym miejscu naradzimy się, jak niepostrzeżenie wejść do wnętrza tego kolosa, tymczasem Baśka powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Tutaj się rozstajemy. Ja z Zielonym wchodzimy, a ty Wojtku pójdziesz na kemping koło przystani.

— Jak to zostaje?! — aż krzyknąłem z oburzenia.

— Ktoś musi trzymać straż na zewnątrz. Doskonale się do tego nadajesz.

— Po co jakaś straż na zewnątrz? Jak profesor zauważy, że się tu kręcę, od razu się domyśli, że jesteście ukryci gdzieś w pobliżu. Absolutnie jestem przeciwny!

— Na zewnątrz musi pozostać ktoś, kto go będzie odciągał od kryjówki. Uważam, że jesteś bardzo sprytny i doskonale wywiedziesz profesora w pole.

— Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz? Mieliliśmy przecież wszystko uzgadniać wspólnie. Nie? Tymczasem

stawiasz mnie przed faktem dokonanym. Zielony, wiesz coś o tym?

Zielony nie zdążył otworzyć ust, bo z odpowiedzią ubiegła go Baśka.

— On nic nie wie, bo na ten pomysł wpadłam przed chwilą, ale jeśli czujesz się urażony, albo uważasz, że nie dasz sobie rady, to zgoda, przedyskutujmy wszystko jeszcze raz. Czekam na propozycję. Ty pierwszy Wojtek.

Byłem zmęczony i, szczerze mówiąc, wcale nie chciało mi się myśleć. Milczałem jednak udając, że się zastanawiam.

— Właściwie przyznaję ci rację. Zgoda — powiedziałem po stosownie długiej pauzie.

W uśmiechu Baśki dostrzegłem wyraźną ulgę. Wtedy nawet nie domyślałem się dlaczego. Przepakowaliśmy plecaki. Baśka i Zielony zostawili sobie tylko to, co było niezbędne by spędzić trzy dni we wnętrzu zapory: butlę gazową, latarkę, menażki, śpiwory, ponad połowę pieczywa, konserw, serków topionych i zup w proszku, chociaż Zielony miał przygotowany własny prowiant.

— A woda? Skąd weźmiecie wodę — zmartwiłem się.

— Jak uśpimy obsługę wtedy napelnimy bidony. Po drodze będziemy mijali sanitariaty. Poza tym w każdej zaporze występują tak zwane przecieki. Woda przeciska się przez beton i zbiera wewnątrz zapory. Stamtąd specjalnymi rowkami odprowadzana jest do kanalizacji.

— E? Woda przeciska się przez beton jak przez sito? — nie chciałem dać wiary tym rewelacjom.

— Tak, są to co prawda bardzo małe ilości, ale przy takiej ogromnej powierzchni powstaje nie wysychające źródółko.

— Skąd o tym wiesz?

— Mówiłam ci, że byłam tu kilka razy na wycieczce. Przewodnik opowiadał, a nawet pokazywał aparaturę badającą wielkość przecieków.

— No to fajnie, przynajmniej ten kłopot spadnie wam z głowy. Tylko nie zapominajcie, że przed użyciem wodę należy przegotować.

— Nie zapomnimy. Gorsza sprawa będzie z temperaturą. Jest tam bardzo chłodno. Nie wiem czy starczy mi jedna kurtka i jeden sweter — zmartwiła się Baśka.

— Weź moje, na pewno nie będą mi potrzebne.

— Dziękuję, wezmę sweter.

— A ty Zielony?

— Mój kombinezon wyrówna temperaturę. Zostawię ci antygravitator i, na wszelki wypadek, nadajnik do łączenia się z bazą. Nie rozstawaj się z tymi rzeczami pod żadnym pozorem.

Dał mi dwa srebrzyste pudełeczka wielkości damskich zegarków i pokazał jak się nimi posługiwać. Antygravitator schowałem do plecaka, a nadajnik do kieszeni.

— Pamiętaj. Wszystko zależy od ciebie. Profesor potrafi się zmieniać jak kameleon. Więc miej oczy i uszy otwarte. Bądź ostrożny szczególnie nocą, bo w dzień raczej nic ci nie grozi. Za duży tu ruch. Gdyby profesor Put się pojawił, rób wszystko aby odciągnąć jego uwagę od naszej kryjówki. A w ogóle wysilaj maksymalnie szare komórki — udzieliła mi na pożegnanie ostatnich rad Baśka.

Ruszyłem w kierunku kempingu po drugiej stronie zapory. Baśka i Zielony mieli chwilę obserwować budynki i wejść w odpowiednim momencie. Idąc obejrzałem się kilkakrotnie. Zobaczyłem jeszcze jak przechodzą przez ogrodzenie, później zniknęli mi z oczu.

TOMEK

Do kempingu było kawał drogi. Gdy tam dotarłem miała już czwarta. Świtało. Zrzuciłem plecak i wyłączyłem antygravitator. Gdybym nie miał przy sobie tego zmyślnego urządzenia, chyba bym padł już po pięciu krokach.

Znalazłem odpowiednie miejsce, ale o rozbiciu namiotu w pojedynkę nie mogło być mowy. Musiałem więc czekać aż się ktoś obudzi i zechce mi pomóc. Usiadłem na śpiworze i wsparty o plecak patrzyłem sennie na żaglówki kołyszące się lekko na przystani, na betonową zaporę, na zamglone góry i różowiejące na wschodzie niebo.

Poczułem pulsowanie w skroniach i usłyszałem jakiś dziwny szum. Rozejrzałem się dokoła. Niebo pociemniało, zrobiło się szaro, prawie ciemno.

Zza gór wyleciały talerze. Odniosłem wrażenie, że napelnione są zupą grzybową. Nie potrafię powiedzieć skąd to przekonanie, ale dałbym sobie uciąć głowę, że żadną inną. W ślad za talerzami pojawiły się filizanki, niektóre były bez spodków, niektóre miały poutrącane uszka... Po chwili na niebie zrobiło się tłoczno od naczyń stołowych: salaterek, waz, sosjerek, dzbanuszków na śmietankę, szklanek, a nawet srebrnych pater z pięknie ułożonymi owocami. Nagle coś zabuczało i zza granatowej chmury wyskoczył olbrzymi, osmolony kociołek. Pędził jak oszalały. Zatrzymał się dopiero nad moją głową, z jego wnętrza wychylił się profesor Put. Naciągnął procę i strzelił do mnie guzikiem. Pogroziłem mu palcem. Kociołek odleciał i osiadł na zaporze. Profesor wygramolił się z jego wnętrza i tłuczkiem zaczął grzmocić w beton. W zaporze powstała wielka dziura. Profesor odwrócił kociołek do góry dnem, usiadł na nim, nie wiadomo skąd wyjął wędkę, do haczyka przymocował cebulę i spuścił ją w głąb zapory. Włosy zjeżyły mi się na głowie. „Tylko patrzeć jak złowi Zielonego” — pomyślałem z przerażeniem. Podskoczyłem, chwyciłem przelatującą właśnie chochłę i z całej siły zamachnąłem się na profesora. Chochła zamiast uderzyć profesora uderzyła w moją szczękę, aż mi zęby zadzwoniły. Profesor roześmiał się ironicznie i jedną ręką zagrał mi na nosie.

Otworzyłem oczy, leżałem na ziemi, a pod brodą miałem sporych rozmiarów kamień. Dookoła nic się nie zmieniło oprócz tego, że słońce stało już wysoko na niebie i było gwarno. Mieszkańcy pola biegali z ręcznikami do

jeziora, pichcili śniadanie, albo porządkowali namioty. Oczy mnie piekły, a w brzuchu burczało niemożliwie. Wydawało mi się, że nie jadłem od wieków.

Z najbliższego namiotu wychyliła się rozczochrana głowa. Piegowaty chłopak puścił do mnie oko.

— Sam jesteś? — zapytał.

— Sam.

— Bo już myślałem, że z całą rodziną — wskazał brodą na moje bagaże.

— Pomóż mi rozbić namiot.

— Ee! Po co? Wprowadź się się do mnie, ja użyję ci miejsca, a ty będziesz gotował i mył menażki.

— Cwaniak się znalazł — przybrałem kpiący ton. — Ja ci mogę dać nie tylko miejsce w namiocie, ale do tego materac i śpiwór, bylebyś ty to robił. W sprawach kulinarnych mogę być tylko i wyłącznie konsumentem.

— A to pech, całkiem tak jak ja.

— Umówmy się — zaproponowałem. — Pomożesz mi rozbić namiot, a gotować będziemy na zmianę.

Piegowaty skrzywił się.

— Przydałaby się jakaś dziewczyna. Jedną z nielicznych rzeczy, które rzeczywiście robią lepiej od nas, to gotowanie.

Wbrew temu co mówił, z ochotą zabrał się do pomocy. Chętnie opowiadał. Bez zbędnych pytań dowiedziałem się, że ma na imię Tomek, pochodzi z Gdańska i przyjechał tu ze starszym bratem, który na kilka dni urwał się do dziewczyny do Rzeszowa. Opiecał bratu, że się nie przyzna

rodzicom, że został sam. Byłaby to dla niego wielka frajda, gdyby żołądek nie upominał się o swoje prawa. Pieśniadze, które brat zostawił mu na jedzenie w barze, wydał oczywiście na lody.

O sobie nic nie mówiłem, zresztą Tomka w ogóle nie interesował mój życiorys. Mimo tego ... przypomniało mi się ostrzeżenie Baśki. A jeśli to podstęp? Zacząłem się mu dokładnie przyglądać, lecz niczego szczególnego nie dostrzegłem. Ot, zwyczajny chłopiec tak jak ja.

— No to gramy w marynarza o to, kto dzisiaj gotuje — powiedział.

— Nie wygłupiaj się, wiadomo, że ty. Po pierwsze, dopiero co się tu dowlokłem i staropolski obyczaj nakazuje, żeby potraktować mnie jak gościa. Po drugie całą noc nie spałem i wpadłbym nosem do menażki. Muszę się koniecznie przespać, choćby nie wiem co.

— Dobrze, — zgodził się Tomek po krótkim namyśle — ale pamiętaj, jutro podajesz mi do łóżka.

Zjadliśmy prędko po grubej pajdzie chleba posmarowanego topionym serem, popiliśmy herbatą, o niezdecydowanym kolorze (wszystko to z moich zapasów, rzecz jasna). Ja rozciągnąłem się na materacu, a Tomek poszedł nad wodę. Usnąłem natychmiast.

Obudziło mnie szarpanie za ramię. Usiadłem przestraszony.

— Ale masz spanie, umrzesz we śnie z głodu. — Tomek podsunął mi pod nos menażkę.

— Co to jest? — myślałem że śnię.

— Rarytas! Makaron z gulaszem w sosie pomidorowym.

— Sam zrobiłeś?

— Prawie. Jedna dziewczyna mi pomogła, bo otworzyłem jej konserwy.

W oka mgnieniu spałaszowałem wszystko.

— Pytał ktoś o mnie? — zagadnąłem.

— Nie.

— A wydarzyło się coś ciekawego?

— Nie. Mamy tylko nowych sąsiadów. Rozbili namiot i poszli na ryby. Maniacy! W taką pogodę! Przecież co chwilę leje.

Widelec wypadł mi z ręki. Wyrzuciłem na zewnątrz. Obok namiotu Tomka stał nowy — pomarańczowy!!!

W tej chwili zaczęło padać. Zegarek pokazywał dokładnie czwartą po południu. Rzeczywiście przespałem pół dnia i profesor miał dość czasu aby mnie zlokalizować, jeśli rzecz jasna to był on. A gdyby tak było to nasuwał się optymistyczny wniosek, że Baśka i Zielony są bezpieczni. Przynajmniej na razie. Postanowiłem ich mieć na oku. Po ciebie przebiegł mi dreszcz emocji.

— Co się tak zagapiłeś? — zapytał Tomek.

— Co tu robić w taki deszcz? Może pójdziemy na lody, co?

— A masz kasę?

— Mam. Stawiam ci za obiad, ale jutro myjesz za mnie gary.

— Niech będzie — zgodził się bez oporów.

Pobiegliśmy do kawiarni na przystań. Było tłoczno, lecz Tomek z właściwym sobie sprytem zdobył dwa miejsca, niestety, z dala od okna, więc nie mogłem obserwować, co



dzieje się na kempingu. Ale mówi się trudno. Skrobiąc powoli lody, rozmawiając o różnych błahych sprawach przesiadaliśmy ze dwie godziny. Tomek wpadł na pomysł, że gdybyśmy zjedli jeszcze po dwie porcje lodów, wtedy nie musielibyśmy jeść kolacji.

— Kalorycznie lody odpowiadają mniej więcej czterem kanapkom z masłem i kiełbasą, plus herbata — przekonywał mnie.

Przystąpiłem na to pod warunkiem, że nazajutrz zrobi za mnie śniadanie. Był zachwycony, a ja szczęśliwy, że w ten prosty sposób odsunąłem od siebie na dalsze kilka godzin wizję gotowania czegokolwiek.

Gdy na chwilę przestało padać, wyszliśmy z kawiarni. Przed pomarańczowym namiotem stało trzech mężczyzn. Wszyscy brodaci, wszyscy trzymali wędkę, siatka z rybami leżała na trawie, a oni sami rozmawiali o czymś zżywieniem. Wyglądali zwyczajnie, ale czy to nie kamuflaż?

— Co teraz robimy? — zapytał Tomek,

— A bo ja wiem?

— Zagrajmy w szachy.

— Dobrze — zgodziłem się bez entuzjazmu.

Zrobiło się bardzo chłodno więc najpierw każdy z nas poszedł do siebie, żeby się lepiej ubrać. Gdy zostałem sam wyrzuciłem ostrożnie z namiotu. Wędkarze zabrali się do oporządzania ryb. Szło im to całkiem sprawnie. „Może naprawdę są tylko wędkarzami — gubiłem się w domysłach. — Co prawda namiot jest nowy jak tamten pod Jaworzcem, ale przecież nie każdy kto ma nowy, pomarańczowy namiot

musi być zaraz kosmitą. Zaraz! Jeśli są kosmitami ryby nie powinny im smakować, chociaż... kto to wie? Poczekam, aż zaczną jeść”

Zapaliłem latarkę, bo deszcz znowu zaczął bębnić po płótnie tropiku i zrobiło się prawie ciemno. I nagle zobaczyłem kartkę leżącą na śpiworze. Odwróciłem ją i przeczytałem:

Wojtku, muszę się koniecznie z Tobą zobaczyć. Czekaj o dwudziestej trzeciej tam, gdzie się rozstaliśmy.

Baśka.

Popatrzyłem na zegarek. Była dokładnie dziewiętnasta czterdzieści sześć. „A może to podstęp?” — błysnęła mi myśl. Przeczytałem tekst jeszcze raz. Z całą pewnością pismo należało do Baśki. Poznałem również kartkę wyrwaną z jej notesu. „Co robić? — zastanawiałem się. — Jeżeli to sprawka tych wędkarzy, to muszę udawać, że nic się nie stało i mieć na nich oko”.

Poszedłem do Tomka na szachy.

Grałem źle i przez cały czas przegrywałem. Tomek początkowo się cieszył, ale potem go to znudziło.

— Nie jest żadną satysfakcją dawać w pięciu ruchach mata. To gra dla posiadaczy sprawnych szarych komórek — przyciął mi, złożył szachy i wyszedł.

Nie przejąłem się. Miałem większe zmartwienie na głowie. Zastanawiałem się jak postąpić, iść na spotkanie, czy

nie. Zresztą, pytania bez odpowiedzi mnożyły się w nieskończoność. „Kto przyniósł kartkę? Czy Baśka mogła jeszcze kogoś wtajemniczyć wbrew umowie z profesorem? Co zmusiło ich do szukania kontaktu ze mną? Jeżeli Baśka z jakichś powodów wyszła z zapory, to dlaczego nie poczekala na mnie w namiocie? Dlaczego mamy się spotkać w nocy? I dlaczego właśnie tam gdzie się rozstaliśmy, a nie na przykład przy kiosku z pamiątkami, albo wypożyczalni kajaków?”

Doleciał mnie zapach smażonych ryb. Wyjrzałem, Tomek siedział przy pomarańczowym namiocie i raczył się w najlepsze jakimś pstrągiem czy okoniem. Zobaczywszy mnie, kiwnął w moją stronę. Poszedłem.

— Pewnie też zjadłbyś, co? — spytał jeden z wędkarzy i nie czekając na odpowiedź, podał mi zniewalająco pachnący kawałek ryby.

Zbrodnią byłoby odmówić. Podziękowałem i usiadłem obok Tomka, który mrugnął do mnie porozumiewawczo.

— Będziemy mieli z głowy wszystkie kolacje.

— Jakim cudem?

— Za robaki.

— Jakie znowu robaki?

— Panie Lucjanie, niech pan pokaże Wojtkowi mój towar. Cymes.

Jeden z wędkarzy zaśmiał się hałaśliwie i sięgnąwszy po okrągłą puszkę z podziurawionym wieczkiem, podsunął mi ją pod nos. Wewnątrz wiły się obrzydliwe, czerwone robaki. Poczułem jak w brzuchu wszystko mi się przewraca.

— Sprytny chłopak — poklepał Tomka po ramieniu i schował puszkę.

Wędkarze uporawszy się ze swoimi porcjami oświadczyli, że rybka lubi pływać i poszli do baru. „A może Tomek i wędkarze są w zмовie?” — znów obudziła się we mnie podejrzliwość.

— Gdzie tak szybko nakopałeś tego paskudztwa, i to przy takiej pogodzie — zapytałem podchwytliwie.

— Wcale nie kopałem, — oświadczył nie spieszony — nazbierałem na alejce, koło sanitariatów.

„Dureń ze mnie — palnąłem się w czoło — przecież po deszczu dżdżownice zawsze wyłazą z ziemi”.

— Ryb nam nie zabraknie, — cieszył się Tomek nie wiedząc jakie jeszcze przed chwilą ciążyło na nim podejrzenie — a robaki będziemy zbierać na zmianę.

DRUGIE SPOTKANIE Z PROFESOREM

Minęła już dwudziesta druga. Leżałem w ubraniu na śpiworze i myślałem najintensywniej jak tylko mogłem: „Iść czy nie iść” — rozważałem jak Hamlet nad czaszką Joryka. „Pójdę i popatrzę z daleka” — postanowiłem w końcu i o dwudziestej drugiej trzydzieści wymknąłem się z namiotu i pobiegłem w kierunku zapory.

Kiedy zbliżyłem się do miejsca, w którym rozstałem się z Baską i Zielonym, zobaczyłem przy skraju drogi kilka porzuconych betonowych kręgów, używanych do budowy

kolektorów. Schowałem się w jednym z nich. Miałem świetny punkt obserwacyjny.

Przez pewien czas niczego podejrzanego nie zauważyłem, aż tu nagle zza zakrętu wyłoniła się jakaś postać. Dość szybko rozpoznałem w niej Tomka. Szedł wolno rozglądając się bacznie.

„Czyżby mnie szpiegował? Jeśli tak, to kim był? Człowiekiem profesora, czy samym profesorem w nowej postaci?” — myślałem.

Gdyby moje podejrzenia okazały się prawdziwe, świadczyłoby, iż jestem niebywałym pechowcem. Na kempingu rozbiło namioty mniej więcej pół tysiąca ziemskich turystów, a ja wybrałem sobie miejsce koło kosmity. Mało tego! Jeszcze poprosiłem go o pomoc i pozwoliłem aby wyjadał moje zapasy.

„Ale zaraz! Tomek ma całkiem inne upodobania kulinarne niż Zielony. Na przykład bez mrugnienia okiem wtrząchnął całą puszkę klopsików w sosie pomidorowym, podczas gdy Zielonego sam ich zapach przyprawiał o mdłości. A może Wiridianie, tak jak Ziemianie, mają różne gusty? Na własne oczy widziałem film o jakimś afrykańskim szczepie, dla którego tłuste pędraki, mrówki a nawet pająki są wielkim smakołykiem”.

Tymczasem Tomek przystanął, chwilę nadśłuchiwał, potem zaczął mnie nawoływać. Nie doczekawszy odpowiedzi powrócił na kemping. Odetchnąłem z ulgą i czekałem dalej.

Chwile dłużyły się bez końca. Minęła dwudziesta trzecia, umówiona pora spotkania, potem północ, lecz nikt nie

nadchodził. Posiedziałem jeszcze godzinę i dałem sobie spokój.

Chyłkiem wróciłem do namiotu. Byłem zmarznięty i zły, a niespokojne myśli kłębiły mi się po głowie. Zasnąłem z trudem.

Obudziłem się przed południem. Przez cienkie ściany namiotu dolatywały jakieś śmiechy. Ubrałem się i wypełzłem na zewnątrz.

Na dworze było dosyć pogodnie. Pomarańczowy namiot stał pozasuwany na głucho. Wędkarze pewnie zaszyli się gdzieś w ustronnym miejscu i łowili ryby, albo... śledzili każdy mój ruch. Tomek, jakby nigdy nic, siedział na jakimś pieńku i z przejęciem strugał patyk. Obok niego dwie, niczego sobie dziewczyny, gotowały na dwóch butlach gazowych naraz. Pachniało zachęcająco.

— O, nasz śpioch się obudził — zawołał Tomek i pomachał mi scyzorykiem. — To jest Marzenka, a to Bożenka, nasze nowe koleżanki. Dziewczyny wyjątkowo uzdolnione. Mówię ci, gastronomiczne artystki. Gdyby ode mnie zależało, dałbym im międzynarodową nagrodę „Złotej Paletni”.

Te zachichotały rozradowane komplementami.

— Cześć — rzuciłem im niedbale.

— Wyobraź sobie, że biedaczki pogubiły korki od materacy i w związku z tym przeżyły koszmarną noc. To straszne spać na materacu płaskim jak naleśnik.

— I co z tego? — spytałem bez specjalnego zainteresowania.

— Jak to co? — obruszył się. — Dorobię im te korki, a one w tym czasie ugotują obiad. Wymodelować kawałek drzewa tak, aby dokładnie pasował do materaca i nie przepuszczał powietrza, wcale nie jest taką prostą sprawą. Byle kto tego nie potrafi.

Kimkolwiek by nie był Tomek, musiałem przyznać z uznaniem, że miał łeb na karku.

— No jasne — poparłem go. — To precyzyjna robota.

Tymczasem mój żołądek zaczął głośno dopominać się o swoje.

— Przypuszczam, że śniadanie przespałem — wyraziłem swój niekłamany żal.

— Zostawiliśmy coś dla ciebie — pocieszył mnie Tomek i przyniósł mi kilka kanapek oraz herbatę w termosie.

— Gdzie wczoraj łażyłeś? — zapytał z wyrzutem, stawiając przede mną termos i talerzyk.

— Dlaczego mnie szpiegujesz?

— Ja? Ja cię szpieguję? — oburzył się. — Słyszałem jak wychodzisz. Długo nie wracałeś, więc pomyślałem, że coś ci się przytrafiło... Poszedłem cię szukać. Nie rozumiem skąd te pretensje?

— Przepraszam, nie miałem nic złego na myśli.

— Gdzie więc byłeś?

— Miałem drobną sprawę do załatwienia.

— W nocy?

Bardzo żałowałem, że nie obmyśliłem wcześniej jakiejś prawdopodobnej historyjki na wypadek, gdyby Tomek zapytał mnie o nocną wyprawę. A przecież zapytał.

— Przypomniało mi się, że mam zatelefonować do domu — wykręciłem się pierwszym kłamstwem, które mi przyszło do głowy.

— I zatelefonowałeś?

— Tak. Z CPN-u.

Tomek rozczarowaany banalnością sprawy przestał się nią interesować.

— Masz na dzisiaj jakieś plany? — zmienił temat.

— Tak. Mam.

— Co będziesz robił?

— Nic.

— To ty planujesz nic nie robienie?

— No jasne. Leżę wtedy do góry brzuchem i nic mnie nie obchodzi.

— W takim razie mnie nie uwzględniaj w swoich planach. Mam lepszy pomysł na dzisiejszy dzień.

Do wieczora straciłem Tomka z oczu, gdyż razem z dziewczynami urządzili sobie wycieczkę stateczkiem po jeziorze. Całe popołudnie kręciłem się koło namiotu nie bardzo wiedząc co robić, „Wszystko idzie dobrze, czas pracuje dla nas” — pocieszałem się przynajmniej raz na godzinę.

— Dzień dobry — usłyszałem nagle głos za sobą.

Odwrociłem się gwałtownie i zamarłem. Za mną stał profesor Put.

— Dzień dobry, słucham pana.

— Porozmawiajmy.

Usiedliśmy na materacu przy wejściu do mojego namiotu.

— Na pewno domyślasz się po co do ciebie przyszedłem — milczałem. — Wiem gdzie ukryli się nasi przyjaciele. Nie było to takie trudne do odgadnięcia. Przypuszczam, że ustaliliście jakiś sposób porozumiewania się. Prawda?

— Jeśli nawet, i co z tego?

— Wyświadczysz mi małą przysługę — mówił profesor. — Poprosisz ich, żeby wyszli ze swojej kryjówki nie czekając, aż ich sam stamtąd wyprowadzę.

— Pan chyba żartuje, profesorze.

— Ależ skądże. Tak będzie prościej.

— Proszę sobie przypomnieć warunki zakładu? — powiedziałem z naciskiem. — Pan powinien go porwać. Nie możemy sami skazywać się na przegraną, dostarczając panu Zielonego na tacy. Termin mija dopiero pojutrze o szóstej rano i do tego czasu nie może pan liczyć na żadną pomoc z mojej strony. To chyba zrozumiałe.

— Myślałem, że będziesz rozsądny. Przecież to już tylko kwestia czasu. Zamiast dzisiaj będziemy go mieli jutro, chociaż przysporzy to nam trochę kłopotu. Ale to drobny kłopot.

W sercu zaświtała mi nadzieja. Profesor chciał mnie tylko wybać, chciał się wyraźnie czegoś dowiedzieć. Powiedział przecież tylko, że wie gdzie się ukryli, ale nie wymienił tego miejsca. „Chyba blefuje” — pomyślałem, a głośno powiedziałem:

— Wszystko to będzie możliwe, lecz najpierw musi pan odnaleźć ich kryjówkę. Nie jestem pewien, czy to się panu zbyt szybko uda.

— Powiedziałem, że wiem gdzie oni są. Są w zaporze, ukryli się w którejś galerii, zapewne w tej najniższej, pod dnem. Jeżeli im się udało tam wejść, to i ja potrafię.

— Jest pan w błędzie! — zawołałem chyba zbyt gwałtownie.

— Wiem, że nie. Wejdę tam ze swoją ekipą i wydostanę ich.

— Bzdura. Sfotografują was i opiszą we wszystkich gazetach. Zanim dobierzecie się do Zielonego, będziecie mieli do czynienia z policją i brygadą antyterrorystyczną. Skończy się wreszcie wasze *in cognito*. UFO przestanie być tajemnicą — starałem się mówić spokojnie, ale mój głos drżał ze zdenerwowania.

— Utwierdziłeś mnie w przekonaniu, że trafnie odgadłem gdzie przebywa Zielony — tu profesor uśmiechnął się krzywo. — Zapewniem cię, że aby wejść do zapory nie potrzebuję armii robotów i latających talerzy. Zrobię to w biały dzień, jutro pomiędzy czternastą a piętnastą. Jeśli chcesz możesz obejrzeć to osobiście.

Milczałem. Czułem, jak z każdym słowem profesora przesuwam się na coraz bardziej stracone pozycje. Sprawa wyglądała zupełnie beznadziejnie.

„Osioł ze mnie — myślałem — to ja wskazałem mu drogę do kryjówki. Popsułem wszystko, muszę natychmiast coś zrobić. Tylko co?” Najchętniej rzuciłbym się na profesora z pięściami, ale jak tu było bić trzystodwuletniego starca.

— No cóż, popsułem ci humor — odezwał się profesor.

— Nie będę ukrywał, rzeczywiście — odparłem.

— Głowa do góry. Od samego początku było wiadomo, że jesteście bez najmniejszych szans. Nic już nie rób, bo to bezcelowe. Przez całą noc zapora będzie pod ścisłą obserwacją. Nie martw się, bo i tak o wszystkim zapomnisz.

Po tych słowach profesor wstał.

— Jeszcze nic nie wiadomo — powiedziałem byle coś powiedzieć.

— Do zobaczenia jutro. Na zakończenie przyjmij moją radę, na nocne wycieczki ubieraj ciepły sweter. W górach po zachodzie słońca robi się chłodno.

Skinął mi ręką i odszedł spokojnie między namiotami w kierunku zapory. Gdybym krzyknął: „Ludzie, trzymajcie go, to kosmita! — pomyślałem patrząc za nim, — na pewno wszyscy uznaliby mnie za wariata”. Opadłem bezwładnie na wznak.

„Co robić? — to pytanie wracało do mnie jak bumerang. — Jak postąpi profesor? Dlaczego Zielonego porwą dopiero jutro w dzień, zamiast w nocy?” — kłębiło się w mojej biednej, skołatanej głowie. Popatrzyłem bezradnie dookoła. „Ilu kosmitów biwakuje na tym polu? Ile par oczu śledzi każdy mój ruch?” Czułem się taki bezsilny, że aż chciało mi się płakać. Pamiętałem dokładnie słowa Baški wypowiedziane przy pożegnaniu, że wszystko zależy ode mnie. Łatwo powiedzieć. „Nie mogę dopuścić do tego, aby profesor porwał Zielonego” — powtarzałem w kółko, ale z tego powtarzania nic nie wynikało.

Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Pobiegłem ile sił w nogach do budki telefonicznej i wykręciłem alarmowy numer policji.

— Słucham, policja — odezwał się głos w słuchawce.

— Proszę pana, bandyci chcą wysadzić zaporę — powiedziałem.

— Proszę podać swoje dane personalne i dokładnie wyjaśnić o co chodzi.

— Po co moje dane? Dowiedziałem się, że jutro między czternastą a piętnastą zorganizowana szajka wejdzie do zapory i podłoży ładunek wybuchowy. Proszę na nich uważać...

— W jaki sposób dowiedziałeś się o tym?

— Podśluchałem.

— Gdzie, proszę podać okoliczności.

Zacząłem się płatać i nagle jak grom z jasnego nieba przyszło na mnie opamiętanie.

„Przecież, jeżeli policja da wiarę moim bredniom i przeszuka zaporę, a zrobi to z pewnością bardzo dokładnie, to bez wątpienia odnajdzie Baśkę i Zielonego”.

Ta możliwość tak mnie sparaliżowała, że na chwilę straciłem głos.

— Halo, halo! — zdenerwował się ktoś na końcu słuchawki. — Czy ty chłopcze nie wycinasz nam przypadkiem głupiego kawału?

— Oczywiście, że wycinam wam najgłupszy kawał na świecie.

— Ładnie to tak?

— Nieładnie, ale założyłem się z kumplem...

— No to przegrałeś — dyżurny policjant odłożył słuchawkę nie czekając na zakończenie moich wyjaśnień.

Pełen najczarniejszych myśli powlokłem się na pole biwakowe. Ściemniało się już. Tomek pomagał wędkarzom smażyć ryby, więc dołączyłem do niego licząc, że ryby zawierają dużo fosforu, a fosfor działa pobudzająco na mózg... a ja przed sobą miałem całą noc na ruszenie konceptem.

Ale w nocy nie wymyśliłem niczego mądrego. Zasypiałem i budziłem się z poczuciem, że grozi mi jakieś straszne niebezpieczeństwo, że ktoś się skrada do namiotu, i że w ciemnościach śledzą mnie jakieś ślepie... Koszmar! Jednym słowem była to najgorsza noc w moim życiu.

Nazajutrz wstałem bardzo wcześnie, chciałem za wszelką cenę uniknąć towarzystwa Tomka. Zapowiadał się upalny dzień, ale na razie powietrze było rześkie jak miętowy cukierek.

Szykowałem się do wielkiej akcji. Żeby ułatwić sobie obserwację ludzi, postanowiłem założyć przeciwsłoneczne okulary Baški, miały cienkie druciane oprawki, więc od biedy mogły uchodzić za męskie. Grzebiąc w jej szpargałach natknąłem się na... notes! Ręce mi opadły.

„Dlaczego nie szukałem go wtedy, gdy znalazłem ten nieszczęsny list?” — pomyślałem z rozpaczą. Cóż, teraz było już za późno.

Sprawdziłem, czy mam wszystko w kieszeniach i cichcem wysunąłem się z namiotu. Szedłem przed siebie bez żadnego planu działania. Może podświadomie wierzyłem,

że dzięki jakiemuś niezwykle zbiegowi okoliczności uda mi się powstrzymać profesora, albo może chciałem być bliżej Baški i Zielonego. Albo jedno i drugie razem.

Śniadanie zjadłem w barze, później włóczyłem się po Solinie. Chodziłem w kółko kilkoma uliczkami lub siadałem na ławkach zawsze tak, żeby widzieć co się dzieje pod zaporą. Dookoła spacerowało coraz więcej ludzi, wśród nich mogli być kosmici, musiałem więc uważać. Obok ławki, na której właśnie spocząłem, przeszła grupa młodzieży. Doleciały mnie słowa przewodnika:

— ... Za chwilę wejdziemy do wnętrza zapory i poznamy jej funkcje...

Oto nadarzała się sposobność. Bez namysłu dołączyłem do nich. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

„Byle tylko wejść do środka — myślałem gorączkowo — potem coś wykombinuję”.

Szliśmy dość wolno. Przewodnik co chwilę zatrzymywał się, coś pokazywał i bez przerwy mówił. Nareszcie stanęliśmy pod bramą zakładu. Kierownik wycieczki kazał wszystkim przez chwilę stać spokojnie w jednym miejscu i przeliczył grupę.

— Coś mi się nie zgadza — mruknął i zaczął liczyć jeszcze raz.

Musiał się nie zgadzać bo policzył również mnie.

— Kto się dzisiaj rozmnożył? — zapytał dowcipnie.

— Nikt się nie rozmnożył tylko przyplątał — pisnęła jedna gruba dziewczyna i wskazała mnie palcem.

Wszystkie głowy odwróciły się w moją stronę.

— Coś ty za jeden? — huknął jakiś dryblas, z jego gęby aż biła chętką nauczania mnie moresu.

— Chciałem z wami zwiedzić zaporę — powiedziałem.

— Trzeba było wcześniej poprosić, a teraz zjeżdżaj. Mamy komplet.

Pchnął mnie lekko. Wywinałem koziołka, bo ktoś z tyłu jednocześnie podciął mi kolana. Wszyscy ryknęli śmiechem. Tego było już za wiele, skoczyłem na równe nogi i zaprawiłem go głową w brzuch. Jęknął i runął jak długi. Błyskawicznie odskoczyłem w stronę siatki.

— Co się tam dzieje? — kierownik wycieczki przepchał się przez zwartą grupę i pochylił nad dryblasem. — Słabo ci czy wypoczywasz?

— To on mnie tak urządził — wskazał na mnie. — Nie dość, że dołączył do nas bez pytania, to jeszcze się rozbija. To jakaś podejrzana figura.

Dryblas trzymał się wpół z miną, jakbym mu przynajmniej przetrącił wątrobę. Uważałem, że jego reakcja była mocno przesadzona.

— Nie jestem żadną podejrzaną figurą! A bójkę to on zaczął — powiedziałem, chociaż wątpiłem czy tej grupie trafię do przekonania. Generalnie miałem ich przeciwko sobie.

— Nieprawda! — wrzasnęli zgodnie.

— Proszę wezwać policję panie przewodniku — zawołał ktoś z tłumu.

Przewodnik ruszył w kierunku budynków elektrowni. Sytuacja stawała się niewesoła, tylko tego brakowało, aby

mnie jeszcze aresztowali. Uświadomiłem sobie, że w kieszeniach spodni mam nadajnik i antygravitator. W razie czego miałbym poważne kłopoty z wytłumaczeniem się skąd posiadam takie rzeczy. Musiałem za wszelką cenę uciekać. Ale jak? Otaczało mnie ze trzydzieści wściekłych osobników, którzy wcześniej by mnie udusili niż pozwolili odejść. Sposób był tylko jeden. Wsunąłem szybko rękę do kieszeni i włączyłem antygravitator. Poczułem niezwykłą lekkość, odbiłem się od ziemi i podskoczyłem prawie metr ponad ich głowy. Na moment zamilkli, potem wydali okrzyk zdziwienia. Opadłem powoli na siatkę ogradzającą elektrownię, zagrałem oniemiałej wycieczce na nosie, pokazałem język i pobiegłem po płocie niby linoskoczek.

— Cyrkowiec, cyrkowiec — rozległy się wołania i cała grupa ruszyła za mną, gruntem oczywiście.

Sadząc ogromnymi susami, szybko zostawiłem ich daleko za sobą. Kiedy upewniłem się, że zaniechali pościgu, wyłączyłem antygravitator i zeskoczyłem z ogrodzenia. Miałem ich z głowy.

Dochodziła dwunasta, słońce prażyło bezlitośnie a mnie marzyła się zimna kąpiel w jeziorze. Tymczasem do zapowiedzianego wejścia przez profesora do zapory, pozostały jeszcze dwie godziny. Żeby się ochłodzić zjadłem kilka porcji lodów, potem znów błąkałem się bez celu po uliczkach Soliny obserwując spacerowiczów.

Okolo czternastej wyostrzyłem czujność, teraz przyglądałem się uważnie wszystkiemu, co się porusza. W pewnej chwili przed moimi oczami pojawił się elegancki, pomarańczowy autobus. Serce zabiło mi mocniej. Przeczytałem

wielki boczny napis: „TURYSTA — WEGOWO”. W jednym z okien mignęła twarz profesora Puta.

„Głupiec ze mnie — jękałem — dlaczego nie domyśliłem się wcześniej...”

Pobiegłem na skróty pod budynek elektrowni i ukryłem się w gęstych zaroślach olszyny rosnącej na obrzeżach parkingu. Siedziałem zaledwie kilka metrów od autobusu kosmitów, którzy zdążyli już zaparkować, i ponadto dobrze widziałem bramę zakładu. Niczym teatralny widz miałem przed sobą scenę, na której już za chwilę rozegra się ostatni akt, któremu bez kozery można nadać tytuł: „Kłęska”. W podtytule należałoby wołowymi literami dopisać: „Przyczynił się do niej totalnie Wojtek R.”.

Postanowiłem dołączyć do Baški i Zielonego gdy ich wyprowadzą.

Minęły dwie koszarne godziny zanim ekipa profesora Puta opuściła zaporę. Ale cóż to? W grupie nie było ani Baški, ani Zielonego! Nie dowierzałem własnym oczom.

Nagle profesor Put wskazał ręką w moim kierunku. Pięciu wysokich, silnych chłopców skierowało się w moją stronę. Nie namyślając się długo włączyłem antygravitator i rzuciłem do ucieczki, ale ludzie profesora Puta to nie szkolna wycieczka. Otoczyli mnie. Szczęśliwie zwróciłem uwagę, że jeden z nich sięga do kieszeni, byłem przekonany, że po usypiacz. Musiałem być szybszy. Desperacko wybiłem się ile sił w mięśniach, wzbilem się ponad ich głowy, ponad olchy, i wylądowałem na dachu jakiegoś samochodu. Stamtąd kilkoma skokami dopadłem najruchliwszej

ulicy, wyłączyłem antygrawitator i, jak mogłem najszybciej, pobiegłem do najbliższej kawiarni przekonany, że takie gwarne miejsce będzie dla mnie najbezpieczniejsze.

OSTATNI MANEWR PROFESORA

Siedziałem w kącie kawiarni popijając wodę firmową i rozmyślając nad ostatnimi wypadkami. Gubiłem się w domysłach. Mogłem zrozumieć fakt, że profesor mnie dopadł, że odgadł, gdzie ukryła się Baśka z Zielonym, a nawet to, że aby do nich dotrzeć użył fortelu z wycieczką z Wegowa, lecz jednego nie mogłem sobie wytłumaczyć. Co zaszło w czeluściach zapory? Jaki pomysł miała jeszcze w zana-dru Baśka? A może nie miała pomysłu tylko w obliczu zagrożenia zamknęła się z Zielonym w czaszy pola siłowego i pozostali tam pomimo, iż skończył się tlen?

Pękała mi głowa. Wiadomo było, że moja skromna osoba stanowiła koniec nitki prowadzącej profesora do celu.

Zgoda, uchwycił ten koniec i dotarł tam gdzie zamierzał. Z nieznanых powodów nie porwał Zielonego, ale do licha, dlaczego próbował porwać mnie? Do czego mógłbym być mu potrzebny? Czyżby zamierzał użyć szantażu? Albo — włosy zjeżyły mi się na głowie — tortur? Z takim nigdy nic nie wiadomo.

Popatrzyłem na zegarek, wskazywał siedemnastą pięćdziesiąt cztery. Postanowiłem siedzieć w kawiarni aż do czasu jej zamknięcia. „Nie odważą się porwać mnie stąd, za dużo ludzi — pocieszałem się i wyszukiwałem innych argumentów przemawiających za tym, że tak będzie. — Wiedzą, że mam antygrawitator i skorzystam z niego bez mruknięcia okiem. Wyniknie z tego sensacja, a kosmici wolą unikać sensacji.” Więcej powodów nie znalazłem.

Ostatecznie kawiarnię opuściłem wcześniej, już o dwudziestej pierwszej, chociaż czynna była do północy. Doszedłem bowiem do wniosku, że o tej porze ulice już opustoszeją i profesor Put bez trudu będzie mógł mnie porwać. O dwudziestej pierwszej było jeszcze jasno. Po upalnym dniu chłód wieczoru sprawił, że Solina roiała się od spacerowiczów. W tej sytuacji mogłem bezpiecznie dotrzeć do kempingu. Uznałem, że głupotą byłoby spać w swoim namiocie toteż postanowiłem przenieść się do Tomka i, rzecz jasna, czuwać przez całą noc.

Jakżeż krótkowzroczne okazały się moje założenia. Ledwo opuściłem kawiarnię i zrobiłem nie więcej niż dziesięć kroków, zatrzymał się przy mnie pomarańczowy „polonez”. Otworzyły się drzwi, i profesor Put, tym razem w letnim

garniturze z jasnego lnu i nieskazitelnie wyprasowanej koszuli, uprzejmym gestem zaprosił mnie do środka. Oprócz niego w samochodzie siedziało jeszcze dwóch podobnie ubranych panów. Patrząc z boku ot, trzech wzbudzających zaufanie biznesmenów, albo urzędników państwowych.

— Pan chyba żartuje — powiedziałem cofając się.

— Tym razem, zapewniam cię, jesteśmy przygotowani na wszelkiego rodzaju niespodzianki. Wsiadaj! — rozkazał.

Rozejrzałem się, nikt nie zwracał na nas uwagi. Przy okazji sprawdziłem jak wygląda sytuacja przestrzenna. Za mną niski lecz szeroki budynek kawiarni o płaskim dachu. Dalej żywopłot i jakieś pawilony, za którymi teren obniżał się gwałtownie w dół aż do parkingu leżącego prawie na poziomie podstawy zapory. Źle, ale nie beznadziejnie. Wystarczyło dopaść tych pawilonów i z pomocą antygravitatora „zeskoczyć” na parking. Profesor żeby tam dotrzeć musiałby zjechać serpentyną, a to dawało mi co najmniej pięć minut przewagi. W tym czasie siedziałbym już ukryty choćby w mysiej dziurze.

— No wsiadaj! — przynaglił mnie profesor.

— Po co? — spytałem głupio, lecz przyznajcie, że logicznie.

— Mam do ciebie interes — uśmiechnął się jakoś tak dziwnie.

— Porozmawiamy o tym rano — odpowiedziałem zuchwale robiąc jeszcze jeden krok do tyłu.

— Nie próbuj uciekać — ostrzegł mnie profesor.

— A jednak spróbuję — zawołałem i co sił w nogach zacząłem biec w kierunku pawilonów.

Znów nie doceniłem profesora. Pościg nadszedł z zupełnie innej strony niż się spodziewałem. Siedzący na ławeczce najspokojniej w świecie starszy pan w siatkowym kapeluszu z laseczką zerwał się, odrzucił laseczkę, i z niebywałą jak na jego wiek werwą ruszył w moją stronę. Mało brakowało a wpadłbym w jego szeroko rozpostarte ramiona. Jednym susem przesadziłem żywoptot lecz tam, o zgrozo, czekał już na mnie przyczajony policjant.

— Stój — zawołał, ale ja wiedziałem, że to żaden stróż prawa tylko przebieraniec profesora.

Rzuciłem się w bok, jeszcze raz przeskoczyłem kolczaste ogrodzenie, zrobiłem zwód przed pędzącym wprost na mnie staruszką, i wypadłem na ulicę. Gnałem jak szaleniec, lecz wciąż tuż za sobą słyszałem tupot ścigających. Wpadłem na zaporę roztrącając spacerowiczów. Włożyłem rękę do kieszeni i na chybił trafił włączyłem antygravitator, lecz na niewiele to się zdało, deptali mi po piętach... Bez namysłu przerzuciłem się przez balustradę, ale zanim zdążyłem dotknąć lustra wody już dopadł mnie „policjant”. Razem runęliśmy w granatową toń zalewu. Nad nami zebrła się grupa gapiów, pewnie myśleli, że jestem samobójcą i podziwiali odwaznego gliniarza bo, mógłbym przysiąc, słyszałem oklaski.

Szarpałem się, kopałem, gryzłem, ale wszystko nadaremnie. Mój prześladowca trzymał mnie w stalowym uścisku. Po kilku minutach podpłynęła pomarańczowa motorówka. ”O rany! — jęknąłem w duszy. — Chyba do końca życia będę czuł obrzydzenie do wszystkiego co pomarańczowe”



Sterujący motorówką mężczyzna pomógł wyciągnąć mnie z wody, potem podał rękę „policjantowi”. Wykorzystałem ten moment. Przeskoczyłem przez burtę z drugiej strony i zacząłem płynąć do brzegu. Byłem jednak bez szans. Dogonili mnie w parę minut, i żeby uniemożliwić mi następne próby ucieczki — związali, i wrzucili na dno motorówki.

Nie zdziwiło mnie, bo przestałem się już czemukolwiek dziwić, gdy okazało się, że ta łódź z silnikiem całkiem nieźle lata. Ledwo mineliśmy skalistą wyspę leżącą na wprost Zatoki Teleśnickiej, wpadliśmy w ciemną gardziel przewężenia, dokładnie tam, gdzie dzikie, górzyste brzegi dawnego koryta Sanu tworzyły doskonałą osłonę przed oczami przypadkowych ciekawskich, motorówka uległa niezwyklej przemianie.

Umilkł warkot silnika, po bokach wyrosły skrzydła w kształcie delty, górą nasunęła się aerodynamiczna kopuła, i już po chwili oderwaliśmy się od wody i ukosem pomknęliśmy ku rozgwieżdżonemu niebu.

Siedziałem zrezygnowany, mokry i zły. Dałem się porwać, nieznany mi był los Bałki i Zielonego, a moja najbliższa przyszłość stała pod wielkim znakiem zapytania.

Ze swego miejsca nie widziałem ziemi i nie potrafiłem ocenić na jakiej znajdujemy się wysokości, ani tym bardziej, dokąd lecimy.

Nagle nad nami zobaczyłem wielki cień, lecz zanim zdążyłem rozpoznać czym on naprawdę jest, usłyszałem przeciągły syk i takie piiip, piiip... jak ze słuchawki telefonicznej i w motorówce-samolocie zapanowały egipskie

ciemności. Kiedy po chwili rozbłysło światło, aerodynamiczna kopuła była czarna, jakby w okamgnieniu ktoś ją przyprosił sadzą.

Nie mam klaustrofobii, ale poczułem się nieswojo. Byłem przecież zamknięty w niewielkiej przestrzeni z jakimiś dwoma mrukliwymi osobnikami i podążałem w nieznanym kierunku.

Trwało to mniej więcej godzinę, gdy nagle kopuła zsunęła się i zobaczyłem, że nasz pojazd znajduje się w jakimś wąskim tunelu. Nie pozwolono mi porządnie się rozejrzeć, tylko zaprowadzono do profesora Puta.

Profesor czekał na mnie w zwykłym, białym pomieszczeniu umeblowanym w dwa fotele i kanapę. Oba meble, chociaż z nieznanego tworzywa, do złudzenia przypominały ziemskie meble z ostatnich lat. Sam profesor ciągle miał postać wzbudzającego zaufanie biznesmena.

— Witam u siebie — uprzejmym gestem dał mi znak abym usiadł.

— Ma pan oryginalny sposób zapraszania gości — powiedziałem z przekąsem.

— Forma może nie jest zbyt elegancka, ale zważywszy na intencje, jakie mną kierowały, myślę, że mi wybaczysz. Albo przynajmniej zrozumiesz.

— Wobec faktów dokonanych nie ma co się rozwodzić nad motywami. To po prostu strata czasu.

— Racja — zgodził się i zrobił stosowną przerwę, żeby przejść do właściwego tematu. — Domyślasz się na pewno, że nie zaprosiłem cię tutaj tak całkiem bezinteresownie.

— O nie, wasz świat jest taki potworny, że nie spodziewam się żadnych bezinteresownych przyjęć.

— Nasz świat jest piękny i wcale nie gorszy od waszego — profesor uśmiechnął się. — Jest po prostu inny.

— Och! Takich okropności u nas nie ma — miałem oczywiście na myśli przeszczepy mózgu.

— Są za to inne. Czy sądzisz, że jak ciebie bezpośrednio coś nie dotyczy, to nie istnieje? Przesadzasz sugerując, że Ziemia jest planetą ogólnej szczęśliwości. Były i są wojny, choroby, głód, rasizm, zatrute środowisko, terroryzm i wiele innych rzeczy, z którymi ludzkość nie prędko się upora. Zatem wydaje mi się, że zbyt pochopnie oceniasz to, czego nie znasz. Nasza cywilizacja jest po prostu inna. My jesteśmy inni, inną mamy kulturę, inaczej przebiegała u nas ewolucja. Twoje kryteria nie są właściwe do oceny naszego świata. Możesz najwyżej powiedzieć, że on ci się podoba albo nie, ale to już zupełnie inna sprawa.

— Nie zgadzam się z panem. Istnieją prawa moralne i prawdy, które są ponadczasowe, obowiązują wszędzie. Są kryteria o zasięgu obejmującym cały wszechświat...

— Czymże jest prawda? Czym jest prawo moralne? Jakie są kryteria obowiązujące w całym wszechświecie? Mówisz o tym ty, obywatel Ziemi, jakbyś nie wiedział, że nawet u was wszystko jest względne i zmienne. *Panta rei*, jak mawiał wasz Heraklit z Efezu.

Zastrzelił mnie tym Heraklitem. Pożałowałem, że jestem taki osioł z historii. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, żeby się nie wygłupić. Profesor moje milczenie wziął za brak akceptacji dla jego wywodów i po chwilowym zastanowieniu ciągnął dalej.

— W każdym okresie dziejów w różnych punktach waszej planety, w tym samym czasie istniały różne prawdy, różne prawa moralne i różne kryteria ocen. Czy mam podać przykłady?

Nie czułem się na siłach, aby podtrzymywać nadal tę dyskusję, więc pokręciłem przecząco głową. Profesor uznał ten temat za wyczerpany i przystąpił do sedna sprawy.

— Prosiłem cię wczoraj o pomoc w skontaktowaniu się z naszymi przyjaciółmi.

— Więc beze mnie to niemożliwe? — ucieszyłem się i spojrzałem ukradkiem na zegarek. Wskazywał dwie po północy.

— Możliwe, ale z tobą będzie mi łatwiej.

— Niech pan nie liczy na moją pomoc. Nic nie powiem, za żadne skarby!

— Źle mnie zrozumiałeś — uśmiech profesora stał się nieznosny. — Nie chcę żebyś mi cokolwiek mówił, bo wiem, że i tak będziesz kłamał. Sam sobie wezmę potrzebne mi informacje.

— Ciekawe jak?

— Spenetruję twój mózg, my Wiridianie potrafimy to robić.

— Naruszyście moją prywatność! Wszystko co mam w głowie jest moją własnością i nikt nie ma prawa w tym grzebać! — zawołałem.

— Niezupełnie. Masz w głowie dane dotyczące mojego podopiecznego. Chyba nie zaprzeczysz, że jeżeli coś jest moje, to i informacja o tym, należy do mnie.

— Tak. Nie! To nie jest takie jednoznaczne — poprawiłem się, gdyż zrozumiałem, że w pytaniu kryje się pułapka, w którą wpadnę bez względu na to, czy odpowiedź będzie potwierdzająca czy przecząca — Jeżeli chce się informację o czymś zachować w tajemnicy, to się jej pilnuje.

— No właśnie, sam bym tego lepiej nie wyraził. Mam środki, żeby wziąć z twojego mózgu te wiadomości, które są mi potrzebne. Twoją sprawą jest uniemożliwienie mi tego.

— To nieuczciwe!

— Dlaczego? To wy rzuciliście wyzwanie. Chcieliście się zmierzyć z potęgą naszej cywilizacji, z naszą techniką. Proszę bardzo! To jest element gry, po prostu wykorzystuję nasze możliwości.

— Pan nie ma prawe — upierałem się.

— O jakim prawie mówisz?

— O moim prawie do własnej głowy.

— Nie zaczynamy wszystkiego od początku. Mogę cię tylko zapewnić, że nie poniesiesz uszczerbku ani na zdrowiu, ani na psychice. Będzie to tak, jakbym przez okno zajrzał do pokoju. Nic więcej.

Profesor wyciągnął w moim kierunku rękę. Trzymał w niej urządzenie podobne do kieszonkowej latarki. Poznałem. Był to usypiacz.

WIELKI FINAŁ

Kiedy otworzyłem oczy leżałem, jakby nigdy nic, w swoim namiocie na kempingu. Co prawda w dwóch śpiworach naraz, ale mniejsza o drobiazgi. Pierwszą rzeczą jaką uczyniłem to spojrzałem na zegarek, była dokładnie piąta czterdzieści pięć trzeciego dnia zakładu, a ja nie wiedziałem czy wygraliśmy czy nie.

Wypełzłem na zewnątrz. Słońce stało już nad Jaworzcem, nad wodą snuły się białe pasemka mgły. Wstawał decydujący dla nas dzień. Wszystko wokół pogrążone było jeszcze we śnie. Z namiotu Tomka dochodziło basowe chrapanie (pewnie wrócił brat), natomiast namiot wędkarzy

zniknął. Pozostał po nim tylko prostokąt wygniecionej trawy. Nie miało już dla mnie znaczenia, czy byli to zwykli faceci, którym skurat skończył się urlop, czy też kosmici, którzy wykonali zadanie i odlecieli do swoich baz.

Poszedłem na umówione miejsce, czyli na zaporę. O tej porze nie było tu żywej duszy. Oparłem się o betonową balustradę i patrzyłem na wszystko, co się dzieje w dole. Szczerze mówiąc w mojej głowie panował kompletny mętlik. Przede wszystkim nie byłem pewien, czy czekanie ma jakikolwiek sens, ani nie wiedziałem co naprawdę działo się z Baską i Zielonym, ani co ostatecznie zrobił profesor Put. Penetrując mój mózg (mam nadzieję, że nie zgorszyły go moje lągi z fizyki i historii), mógł co najwyżej upewnić się w tym, co już wcześniej przypuszczał, a ja na pewno wiedziałem, że Baśka z Zielonym byli w zaporze, gdzieś pod moimi stopami. „Czego mógł jeszcze szukać i czy znalazł?” Przez moją głowę przetaczały się na przemian fale najwyższego optymizmu i najgłębszego pesymizmu. Przez cały czas pocieszałem się jedną jedyną pewną myślą, że przecież wszystko pamiętam. Dokładnie. A to był dobry znak.

Tak rozmyślając spoglądałem co chwilę na zegarek. Minęła siódma, potem ósma. Pojawiło się coraz więcej ludzi. Nagle moją uwagę przyciągnął most na Sanie poniżej zapory. Stała na nim drobniutka postać wymachując czymś czerwonym nad głową. Wyteżyłem wzrok. Tak! To była, Baśka!

Wydałem z siebie najdzikszy okrzyk zwycięstwa Czemonów i ile sił w nogach pobiegłem jej na spotkanie. Baśka

biegła mi naprzeciw. W połowie drogi bez słów wpadliśmy sobie w ramiona i przez dobre pięć minut tańczyliśmy na środku jezdni, jak para wariatów. Tańczylibyśmy pewnie jeszcze dłużej, gdyby nie zrugał nas kierowca ciężarówki. Krzyczał, że jesteśmy głupimi pętakami, a kiedy Baśka w odpowiedzi posłała mu całusa, postukał się palcem w czoło kręcąc głową jakby mówił: *o tempora! o mores!* dodał gazu i odjechał.

— Chodźmy teraz do Zielonego — Baśka pociągnęła mnie za rękę w przeciwną stronę niż się spodziewałem.

— To nie idziemy do zapory? Kiedy stamtąd wyszłiscie?

Baśka parsknęła śmiechem.

— Wcale w niej nie byliśmy.

— A gdzie?

— Popatrz. Widzisz te kamieniołomy na Kozińcu? Kilkadziąsąt metrów nad wyrobiskiem jest dobrze zamaskowany bunkier, jeszcze z czasów wojny. Za jakiś czas zostanie zniszczony, ale póki co służył nam za kryjówkę.

— Skąd o nim wiedziałaś?

— Och, to stara historia. Byłam kiedyś u przyjaciół w Zabrodziu, bawiliśmy się w podchody i przypadkowo go odkryliśmy. Przysiękliśmy sobie zachować to w tajemnicy. No i teraz go wykorzystałam.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Nie mieliście do mnie zaufania?

— Przestań się dąsać. To była jedyna szansa, aby wygrać. Dostałeś antygrawitator i włączony nadajnik. Bez przerwy wysyłałeś w kosmos sygnały, tak więc profesor musiał najpierw skierować się w twoją stronę.

— Ułatwiłaś mu zadanie? — zawołałem oburzony.

Fakt, że Baśka i Zielony prawie na tacy podali mnie profesorowi dotknął mnie do żywego.

— Czy wiesz, że Wiridianie mają sposób, żeby bezpośrednio z cudzej pamięci wyciągać informacje?

— Wiem, dowiedziałam się o tym od Zielonego wtedy, gdy siedzieliśmy w namiocie pod Jaworzcem. Moje założenie było takie: profesor potraktuje cię jak koniec nitki, po której zechce dojść do kłębka. Ty zaś wytężając cały swój spryt będziesz mu to utrudniał, lecz on wcześniej czy później dobierze się do twojej głowy. Ty naprowadzisz go na trop, a trop będzie fałszywy. Dlatego właśnie nie mogłeś wiedzieć gdzie jesteś ukryci.

Nagle zrozumiałem całą złożoność tej taktyki. Wszystko stało się jasne i oczywiste.

— Szatański pomysł! Tak go wypuścić w maliny! — zawołałem z niekłamany podziwem.

— Kiedy profesor spenetrował ci mózg?

— Dziś w nocy, około pierwszej.

— No, no, spisałeś się nad podziw dobrze — pochwaliła mnie. — Nie przypuszczałam, że uda ci się tak długo wytrzymać. Liczyłam najwyżej na jeden dzień.

Opowiedziałem Baśce wypadki owych trzech dni, nieco koloryzując swoje dokonania. Ale nie za bardzo.

Zeszliśmy z drogi i zaczęliśmy się wspinać pod gęsto zalesioną górę. Po dwóch godzinach Baśka zatrzymała się.

— Zagadka dla ciebie, stoisz niecałe pięć metrów od kryjówki. Czy potrafisz ją odnaleźć?

Rozejrzałem się. Miejsce nie odróżniało się niczym od innych miejsc w Bieszczadach. Omszałe głązy wystające

z ziemi, krzewy borówek, buki, jodły, gdzieś tam jawory, a w prześwitach czarna olcha. Typowy dolny regiel. Na pierwszy rzut oka nie można było zauważyć żadnego schronu, lecz skoro Baśka twierdziła, że jest, więc musiał być. I to dobrze zamaskowany. Zacząłem dokładnie przyglądać się otoczeniu, lecz zanim zdążyłem dojść do jakichkolwiek wniosków, zza płataniny jeżyn rosnących tuż obok miejsca, w którym staliśmy, wyczołgał się Zielony.

— Cześć, fajny schowek, nie? — śmiał się od ucha do ucha.

— Fajny, z naturalnymi zasiekami.

Z całych sił grzmotnąłem go w plecy, gdyż nie wypada, aby mężczyźni się ściskali, jak jakieś baby. Podobno grozi to gradobiciem.

Jeszcze raz opowiedziałem Zielonemu o wszystkim, co wydarzyło się od czasu naszego rozstania. Gdy skończyłem powiedział:

— Przyznam się wam, że ani przez chwilę nie wierzyłem w wygraną. Chciałem tylko, jak najdalej, odsunąć w czasie swoją klęskę.

— Musiałeś chyba mieć iskierkę nadziei, skoro zdecydowałeś się na ucieczkę ze swojej planety? — rzekła Baśka.

— Nie. To był tylko bunt. Działąłem pod wpływem silnego wzburzenia. Najmniej rozsądny Wiridianin nie dałby takiemu wyczynowi nawet połowy procentu szans powodzenia. Doprawdy nie wierzę, że to się zdarzyło.

— U nas na Ziemi mówi się, że zawsze trzeba być dobrej myśli.

— Zdziwiacie mnie — ciągnął dalej Zielony. — Rzuciliście wyzwanie przeciwnikowi o nieporównywalnej przewadze i wygraliście.

— Laury należą się Baśce — przyznałem.

— Nie przesadzaj. Mój był tylko pomysł, ty prowadziłeś całą grę — Baśka wspaniałomyślnie dzieliła się ze mną zwycięstwem.

— To ty grałaś, ja byłem zaledwie pionkiem — nie chciałem nie zasłużonych peanów.

— Sprawnie myślącym pionkiem, ale nie licytujmy się. Jesteśmy górami i tylko to się liczy.

— Zapomnieliśmy ustalić gdzie będziemy czekać na profesora w razie wygranej — uświadomiłem Baśce i Zielonemu nasze ewidentne przeoczenie. — Profesor nawet nie dopuszczał takiej możliwości, więc też o tym nie pomyślał.

— Bez obawy, on już wie gdzie jesteśmy — rzekł z przekonaniem Zielony.

— Więc dlaczego jeszcze go nie ma?

— Myślę, że dał nam trochę czasu, abyśmy mogli sobie porozmawiać.

— Fajny gest z jego strony.

— Wiridianie najwyżej sobie cenią zalety umysłu. U nas wszystko podporządkowane jest idei rozwoju intelektualnego, nawet te nieszczęsne przeszczepy mózgu. Jestem pewien, iż profesor wysoko oceni waszą wygraną.

— Zastanawiam się dlaczego profesor w ogóle zgodził się na ten zakład? — spytała zamyślona Baśka.

— Ja też — przyznał Zielony. — Na pewno miał w tym jakiś cel, lecz chyba nigdy nie dowiemy się jaki.

Profesor nie spieszył się. Przyszedł dopiero po dwóch godzinach. Siedzieliśmy sobie właśnie na kamieniach i popijaliśmy z kubków herbatę (Zielony szatwiową), gdy usłyszeliśmy szelest poszycia. Ktoś zbliżał się w naszym kierunku. Zielony natychmiast dał nura do schronu, zaś my czujnie nastawiliśmy uszu.

Z gęstwiny wyszedł profesor Put. Wyglądał jak zwykły turysta, który się wybrał na samotny spacer. Miał na sobie te same sztruksowe spodnie i tę samą flanelową koszulę, co przy pierwszym spotkaniu pod Jaworzcem.

— Dzień dobry — uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dzień dobry.

Zielony wyczołgał się z kryjówki i stanął obok nas. Sytuacja była niezręczna, powinniśmy poprosić profesora aby usiadł, lecz czy wypadło dostojnemu gościowi proponować kamień? Pierwszy przemówił profesor:

— Gratuluję wam wygranej. Zgodnie z umową możecie żądać ode mnie spełnienia trzech życzeń. Zupełnie, jak w bajce o złotej rybce.

Wiadomo o co graliśmy.

— Chcę, aby nasz przyjaciel, którego nazywamy Zielonym, nie został przeszczepiony po powrocie na Wiridię — wyrwałem się pierwszy chcąc dać Baſce i Zielonemu możliwość żądania dla siebie czegoś, o czym być może marzyli skrycie. Teraz mieli wolną rękę.

— O tym decyduje ktoś inny. To nie leży w mojej gestii — profesor nie chciał tak łatwo ustąpić.

— Panie profesorze, nie zmienia się zasad w czasie gry. Takie jest moje życzenie i zgodnie z umową powinien je pan spełnić.

— Nie będzie to proste, ale zrobię stosowny wniosek i poprę go całym swoim autorytetem.

— A co będzie, jeżeli wniosek zostanie odrzucony?

— Skorzystam z przysługującego mi prawa przyjęcia go pod mój osobisty nadzór, w celu szkolenia do zadań specjalnych.

Twarz Zielonego rozjaśniła się. Później powiedział mi, że takie wyróżnienie jest marzeniem każdego Wiridianina. To tak, jakby u nas zostać kosmonautą.

Przyszła kolej na Baškę. Zaczęła od pytania:

— Panie profesorze, czy nawet teraz, gdy wygraliśmy, wymaże nam pan z pamięci, tę całą przygodę?

— Takie jest nasze prawo.

— To wasze prawo — zaoponowała.

— Każdy, kto się z nami zetknie musi je respektować.

— W takim razie proszę, żeby niczego nie wymazywał pan z naszej pamięci. Chcemy wszystko pamiętać. Damy panu słowo honoru, że to spotkanie zachowamy w tajemnicy. Zresztą, nawet gdybyśmy się wygadali, to i tak nikt nam nie uwierzy. Chyba pan wie, co na Ziemi mówi się na temat UFO?

Profesor wyglądał na wyraźnie zakłopotanego. Dość długo milczał, potem westchnął ciężko a w końcu powiedział:

— No dobrze, niech tak będzie, — a po chwili dodał.

— Dotychczas wydawało mi się, że na tyle dobrze znam

Ziemie i Ziemian, by wiedzieć czego się spodziewać. Dziś musiałem zmienić zdanie i to za sprawą dzieciaków. Takiego sprytu nie powstydziliby się sam Odyseusz. A jakie jest twoje życzenie?

Spojrzelismy wyczekująco na Zielonego, który dotąd stał milczący. W zasadzie najważniejsze sprawy zostały już załatwione: przeżył ciekawą przygodę, dostał na własność swoje ciało, a my zachowamy go w pamięci do końca życia.

Tymczasem to, co wykalkulował sobie w głowie Zielony, przeszło najśmielsze nasze oczekiwania. Zaczął od wyrażenia swoich odczuć. Gdyby mówił do rymu mógłbym przysiąc, że słucham hymnu pochwalnego ku czci... lecz każde jego słowo było adresowane do nas. Brzmiały one mniej więcej tak:

— Nie mogę znaleźć odpowiednich słów, ażeby wyrazić moją wdzięczność. Uważam was za moich najserdeczniejszych przyjaciół i wiem, że cokolwiek bym dla was zrobił, nie będzie to rekompensatą za wasze wielkie serce...

— Nie przytruwaj, Zielony — ofuknąłem go, bo nie lubię ckliwych scen. Baśka przygryzła wargi i spuściła wilgotne oczy. Ale dziewczyny to co innego. One lubią od czasu do czasu uronić łezkę, gdyż uważają, że to bardzo romantyczne.

— Panu też dziękuję — kontynuował nie zrażony moimi wtętami Zielony. — Nie wiem dlaczego zgodził się pan na ten zakład, ale jedno wiem na pewno, dał mi pan

szansę, a to jest wielka rzecz. Nawet gdybyśmy przegrali, potrafiłbym docenić pański gest.

— Cieszę się, że to doceniasz. A co sobie życzysz?

Zielony długo milczał jakby się nie mógł zdecydować.

— Czyżbyś zrezygnował ze swojego życzenia? — zdziwił się profesor.

— Nie. Chciałbym, aby następne wakacje oni spędzili na Wiridii.

Zamurowało nas. Nawet profesor wyglądał jak pomnik osłupienia.

— Zaskoczyłeś mnie. Może nawet bardziej niż Ziemianie — odezwał się wreszcie po długiej pauzie profesor. — Drogo każecie sobie płacić za zwycięstwo. Bardzo drogo. Okazuje się, że nawet mając trzysta dwadzieścia cztery lata, można się jeszcze czegoś nauczyć.

— Czego na przykład? — nie wytrzymałem z ciekawości.

— Starej prawdy, iż nigdy nie należy lekceważyć przeciwnika. No cóż. Pokonani zawsze płacą, więc i na to życzenie wyrażam zgodę. Dokładnie za rok, o pierwszej po północy czekajcie na Falowej.

W pierwszej chwili myślałem, że uległem złudzeniu, że to jakiś sen. Ale gdy do mojej świadomości dotarło, że za dwanaście miesięcy polecę w kosmos, nie zważając na powagę profesora Puta, wydałem z siebie dziki okrzyk niepohamowanej radości i zacząłem skakać, i wymachiwać rękami jakby mi odbiło. Moje zachowanie musiało być zaraźliwe, bo po chwili i Baśka, i Zielony poszli w moje ślady, i w euforii skakali razem ze mną.

Otworzyłem oczy. Leżałem na sianie w stodole wujka Tośka. Przez szpary w deskach sączyły się słoneczne promienie. Po chwili wrota otworzyły się i wszedł wujek.

— Halo! Wojtek, jesteś tam?

— Tak, jestem. A gdzie Basia?

— Jaka Basia? — zdziwił się wujek.

— No, ta z Leska...

— To ty ją znasz?

— No jasne, przecież byliśmy razem w górach, chyba przez tydzień.

Oczy wujka zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

— O czym ty mówisz? Przecież przyjechałeś zaledwie trzy dni temu. Basia na pewno tutaj przyjedzie, ale w ciągu ostatniego tygodnia jej tu nie było.

Teraz ja oniemiałem ze zdumienia.

— Coś ci się przyśniło — wytłumaczył rzecz całą wujek.

— Chyba tak — potwierdziłem bez przekonania.

— Idę po ciocię na przystanek. Pójdiesz ze mną?

— Nie, chcę dokończyć książkę — skłamałem, bo tak naprawdę chciałem spokojnie pomyśleć.

Wujek wyszedł.

„Co to było? Sen? Halucynacje? Pamiętam dokładnie jak tańczyliśmy z radości przed schronem na Kozieńcu, a potem... „Co było potem? Jakim sposobem znalazłem się z powrotem w stodole wujka?”

Spostrzegłem, że mam na sobie koszulę, w którą przebrałem się na kempingu. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem... okulary Baški. Miałem niezbity dowód, że nie uległem żadnym urojeniom, że wszystko co pamiętam zdarzyło się naprawdę!

„Czy można cofnąć czas? Podobno czas jest względny, ale czy ta względność poddaje się manipulacji? Jeśli tak, to czy stałem się ofiarą nowej sztuczki profesora? Czy w ten sposób zabezpieczył się przed naszą niedyskrecją? Teraz, choćbyśmy się wygadali, nikt nam nie uwierzy w żadne spotkanie z kosmitami”. Trochę mnie uraził ten brak zaufania, lecz pocieszałem się myślą o dłuższych wakacjach.

„Ciekawe co o tym wszystkim myśli Baška? Muszę koniecznie się z nią spotkać — obiecałem sobie. — Musi mi wytłumaczyć, jak to jest z tą względnością czasu. Jest przecież Einstejnem w spódnicy. Poza tym dopiero teraz będę mógł spokojnie zwiedzać Bieszczady. A na następne wakacje też tu przyjadę i pójdziemy na Falową. Baška ma rację, w Bieszczady przyjeżdża się raz, potem się tylko wraca”.

POSŁOWIE

Już teraz mogę zdradzić, że profesor Put dotrzymał słowa. Dokładnie za rok z Falowej w Bieszczadach odlecieliśmy na Wiridię.

Profesor zapewniał nas, że będziemy mieli spokojne, chociaż ciekawe wakacje. Tymczasem zaszło coś, co pokrzyżowało wszystkie plany i nasz powrót na Ziemię stanął pod znakiem zapytania.

Ale jak się skończyła ta wielka przygoda, opowiadam w innej książce pt. „Kosmiczna heca czyli Na Wiridii”.

Warto przeczytać. Daję Wam na to moje słowo honoru.

Wojtek

SPIS TREŚCI

Smutna perspektywa	5
Niezwykłe spotkanie	9
Przejmuję inicjatywę	14
Porwanie	25
Baśka	32
Diabeł w spiżarni	36
Wyprawa w góry	44
Pierwsza noc w górach	49
Biwak pod Jaworzcem	60
Spotkanie z profesorem	68
Kosmiczne cygaro	79
Tomek	90
Drugie spotkanie z profesorem	100
Ostatni manewr profesora	115
Wielki finał	125
Posłowie	137

„Kosmiczna heca...” należy do książek czytanych jednym tchem. Wartość akcji, współczesny styl i tematyka bliska zainteresowaniom Młodych Czytelników, to najważniejsze walory tej książki, opowiadającej o pobycie na Ziemi uciekiniera z obcej planety i ścigających go kosmitach.

„Kosmiczna heca...” była drukowana w odcinkach w „Plomyczku” i cieszyła się tak dużym powodzeniem, że nasza Oficyna postanowiła ją wydać w formie książkowej. W przygotowaniu znajdują się kolejne tomy opowiadające o przygodach naszych bohaterów.

Życzymy przyjemnej lektury